

TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCOWY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I ODRODZENIA NARODU.

ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ”
I ABSTYNNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW.

Pod Redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 4—5

KWIECIEŃ—MAJ 1931

ROK VI.

NASZE ZADANIA.

Łatwość, z jaką dokonano zmiany ustawy przeciwalkoholowej na „proalkoholową”, wyraźnie wskazuje polskim działaczom przeciwalkoholowym wytyczne dla ich działalności najbliższej.

Celem tym powinno być stworzenie wielkiej i zwartej organizacji. Przez stworzenie takiej organizacji, przez powołanie do jej szeregów wszystkich szczerych zwolenników walki z klęską alkoholizmu — powstanie siła, niezbędna do unicestwienia tak przeciwspołecznego zjawiska, jak ustawa proalkoholowa i jednocześnie umożliwi się prowadzenie istotnej walki z alkoholizmem.

Ponowne powołanie do życia prawdziwej ustawy przeciwalkoholowej, mającej za zadanie ograniczenie i zwalczanie alkoholizmu, a nie zabezpieczenie wszelkich możliwości niczem niepowstrzymanego jego rozrostu — jest tak bijącą w oczy koniecznością społeczną i państwową, że dłużej rozwódzić się nad tem jest rzeczą zbędną.

Do przeprowadzenia tych wielkich zadań niezbędna jest szeroko rozgałęziona organizacja, obejmująca wszystkich zwolenników odrodzenia moralnego społeczeństwa.

Wróg jest potężny i powszechny—ciągle i wszędzie czynny—nie zna różnicy narodowości, wyznań, płci, wieku, poglądów politycznych czy społecznych — a więc i armja, walcząca z tym wrogiem strasznym musi się składać z przedstawicieli całego społeczeństwa.

Alkohol dostaje się wszędzie, każda komórka, każda tkanka, każdy nerw społeczny podlegają jego destrukcyjnym wpływom — tylko więc wspólna, harmonijna, skoordynowana obrona może położyć tamę niszczycielskiej jego działalności.

W walce z wielkimi klęskami społecznymi nie może być stronictw i koteryj z tej prostej przyczyny, że te klęski różnic podobnych i dystynkcyj nie znają,—zarazy, wojny, głód, klęski żywiołowe nie czynią różnic w wyborze swych ofiar—stąd ich powszechność, elementarność i stąd też konieczność wspólnej obrony społeczno - państwowej. W świetle tych prawd jakżeż mizernem i... naiwnem jest oskarżanie kogokolwiek z pośród walczących z klęską alkoholizmu o jakieś tendencje ukryte, o cele złe...

Walka z alkoholizmem jest bowiem zawsze i wszędzie walką o dobro człowieka w najszerszym znaczeniu, jest sprawą ogólnoludzką — stąd jej najszlachetniejsze dążenia międzynarodowe, wszechświatowe.

Tak jak niemożliwym jest obecnie utrzymanie gdziekolwiekbydź ulegalizowanego niewolnictwa, tak samo alkoholizm musi być zwalczany i tępiony wszędzie. Pozostawienie go w spokoju bodaj w jednym państwie stanowi niebezpieczeństwo dla wszystkich innych.

**

Dotychczasowe dzieje walki z alkoholizmem, zwłaszcza w krajach skandynawskich i w Stanach Zjednoczonych A.P. wskazują, że w tej, nad wyraz trudnej, walce wówczas tylko można osiągnąć wyniki trwale dodatnie, gdy prowadzą ją, jednomyślnie i społecznie, i Państwo. Organizacje i ustawy. Inicjatywa społeczna i państwowe władze wykonawcze. W przeciwnym razie następuje połowiczność, bo usiłowania społeczne muszą mieć silne, niewzruszalne oparcie w podstawie prawnej.

**

Liczebność naszych organizacji, walczących z alkoholizmem jest słaba, co stoi w związku z zasadniczą niechęcią społeczeństwa naszego do zrzeszania się. — Chodzenie „luzem” jest niemal cnotą w oczach ludzi aspołecznych, tych zaś mamy legjon.

Ustawa „proalkoholowa”, nadająca nowe przywileje szynkarzom, przywracająca alkoholowi stanowisko dominujące, z którego go skutecznie spychała unicestwiona obecnie ustawa przeciwalkoholowa, jest czemś tak niebywałem i skandalicznym, że wielu ludzi, dotychczas jedynie tylko teoretycznie uznających potrzebę walki z klęską alkoholizmu, teraz chętnie stanie w szeregach walczących z tą klęską. — Wszak podwojono liczbę miejsc wyszynku, dopuszczono alkohol do bufetów kolejowych, do fabryk, kasyn wojskowych, niesłuchanie utrudniono plebiscyty, istniejące już zakazy znosi się i t. d. i t. d. wszystko to jest tak przeciwspołeczne, że staje się potężną naszą bronią.... Zdaleko poszli wrogowie trzeźwości, zanadto cynicznie wyzyskali przypadkową chwilową koniunkturę....

Mamy więc położenie ułatwione — jasnym bowiem się stało, że walka z alkoholizmem — to walka o dobro społeczeństwa i państwa i walka nie z urojonymi straszidłami bujnej wyobraźni, ale z realnym przeciwnikiem — wielkim kapitałem alkoholowym; jasnym się stało, że są tu dwie strony: jedna chce poprawy stosunków społecznych, moralnych, materialnych — druga broni interesu prywatnego, interesu wielkiego kapitału.

Becznelna, pełna kłamstw argumentacja przeciwników ustawy przeciwalkoholowej wielu otworzyła oczy; zła jest bowiem sprawa, której trzeba bronić kłamstwem, oszustwem i kalumnją....

**

Organizacja nasza winna się oprzeć na masach — masy te zdobyć dla organizacji walki z alkoholizmem to nasze być, albo nie być. — Przecie masy proalkoholowe są zorganizowane świetnie: przeszło 20.000 szynków, restauracyj i innych tym podobnych zakładów, to potężne placówki armji pijackiej, armji zaiste piekielnej.

Nestety, ani partje polityczne, ani wielkie organizacje społeczne nie zdają sobie jeszcze dokładnie sprawy z doniosłości dla nich samych w pierwszym rzędzie zajęcia się istotnego, całkowitego, bezkompromisowego sprawą walki z alkoholizmem.

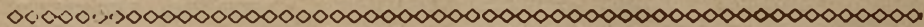
Rozumieją to, a raczej sercem odczuwają szerokie warstwy ludowe i robotnicze, a w pierwszym rzędzie kobiety. Bo te masy nie są jeszcze u nas tak przeżarte alkoholem, jak w wielu innych krajach — łatwiej więc im wyzbyć się nałogu.

Niech więc każdy przekonany i uświadomiony abstynent stanie się czynnym działaczem na polu walki z alkoholizmem, niech będzie pionierem tej idei nie tylko w swoim otoczeniu i środowisku, w którym żyje i pracuje, ale niech się stara zainteresować naszą sprawą organizacje, do których należy, oraz ludzi zajmujących w społeczeństwie kierownicze stanowiska. — Trzeba tym organizacjom i tym ludziom wprost niemal narzucić dyskusję nad tak aktualnem obecnie zagadnieniem alkoholizmu i walki z nim. Towarzystwa, związki, organizacje—to teren naszej ekspansji najbliższej. Na zjazdach ich należy stale poruszać to zagadnienie. Rozpowszechniać naszą prasę i literaturę. Żądać, aby zebrania i zabawy odbywały się bez alkoholu. Brać udział czynny w tygodniu propagandy trzeźwości. Pomać najusilniej w przeprowadzeniu plebiscytów prohibicyjnych, a w całej tej działalności opierać się o organizację przeciwalkoholową. — Trzeba starać się, aby taka organizacja była blisko, możliwie na terenie własnej działalności, więc trzeba zakładać Koła T-wa Trzeźwość.

W całej tej działalności mocno jednak pamiętać trzeba, że podstawowym warunkiem powodzenia wszelkiej agitacji przeciwalkoholowej jest przykład własnej całkowitej trzeźwości. To silniejsze od najlepszych mów i odczytów...

W zdobywaniu nowych działaczy przeciwalkoholowych kolosalne, decydujące znaczenie mają systematyczne kursy alkoholologii z państwowym kursem podobnym na czele, urządzanym corocznie na jesieni w Państwowej Szkole Higjeny. Każdy społecznik winien wysłuchać takiego kursu. W ten sposób tylko mogą rosnąć kadry uświadomionych kierowników ruchu przeciwalkoholowego.

W jedności nasza siła, zwycięstwo i przyszłość!



Abstynenci byli przez długie lata wyśmiewani. spoglądano na nich z pewną pogardą, z jawnem współczuciem. Dziś jednak zwracamy się do nich z największym uznaniem, już choćby dlatego, że zwalczają oni alkohol, który stał się wrogiem narodu, burzy ogniska domowe, sprzymierza się z więzieniami i szpitalami dla umysłowo-chorych.

Dr. A. Fruchtman.

Przyczyną upadku wielu najlepszych ludzi jest alkohol, stojący na każdym rogu, na każdej rozstajnej drodze, mający przystęp do każdego — usuńcie go, a ludzie dzielni, którzy i nadal na świat przychodzą będą, zamiast ginąć marnie, dokonają wspaniałych czynów.

Jack London.

KOBIETA W WALCE Z ALKOHOLIZMEM.

(Wykład, wygłoszony na Kursie Alkoholologii

w Krakowie dn. 24.IV. 1931 r.).

Sledząc w historii dzieje wynalazków widzimy dwa zasadnicze prądy: jedna część ludzkości pracuje w kierunku polepszenia bytu człowieka; druga — dąży do jego zniszczenia.

Jedne wynalazki mają na celu ulżenie w pracy, oszczędzenie sił, zapewnienie zdrowia fizycznego i moralnego, rozwój ducha najwyższej istoty umysłowej na ziemi.

Drugie, na usługach instyktów, egoistycznych dążeń narodowych, czy klasowych ulepszają broń wszelkiego rodzaju, wynajdują coraz szybsze kulomioty, coraz potężniejsze armaty, coraz silniejsze i straszliwsze gazy trujące.

Wywołuje to oczywiście konieczność obrony i oto znów część uczonych poświęca swój czas i umiejętność, aby wynaleźć środki ochronne przeciw wszelkim narzędziom śmierci.

Ale szabla, kula, czy gaz nie zawsze trafiają do celu, można się od nich uchylić, ukryć w schronie, zasłonić maską gazową, przed jednym tylko wrogiem człowiek nie umie się bronić, przed wrogiem, który chyba musi być samym szatanem, bo z całą świadomością zbrodniczych zamiarów przybrał postać Radości życia. Obiecuje dać zapomnienie trosk, przybiera postać anioła pocieszyciela, mieni się wszystkimi kolarami tęczy, nęci zapachem i perli w kryształowych kielichach, — to alkohol, a każda jego kropla zatruwa jednocześnie wszystkie organa, przenika aż do szpiku kości, niszczy system nerwowy i zabija mózg, siedlisko rozumu, aby człowieka uczynić niższym od zwierzęcia, bo żadne zwierzę nie upija się, żadne zwierzę powoli, systematycznie nie zabija siebie i swego pokolenia na długie lata. Każde zwierzę instyktom samozachowawczym wie jakie rośliny są pożyteczne dla jego organizmu i unika trujących, jeden człowiek z całą świadomością, że daje truciznę—uczy swoje dzieci pić alkohol, a rezultaty? Wszelkie choroby nerwowe, choroba św. Wita, nieprawidłowy rozwój kości, choroby umysłowe, wszelkie zboczenia! A teraz gdyby nam kto powiedział, abyśmy do codziennego chleba dodawali strychniny, albo arseniku, to uważalibyśmy go za niebezpiecznego warjata, ale żyto, kartofle, jęczmień zamieniać na najcięższą truciznę, bo działająca powoli z nieubłąganą systematycznością nie tylko nie jest karane, ale stało się prawnie zabezpieczone we wszystkich krajach, gdzie ten przeklęty trunek jest wytwarzany. Przed 400-stu laty Ameryka nie znała alkoholu, hiszpanie przywieźli silnym, szlachetnym w swej pierwotnej moralności ludom ognistą wodę i ospę.

Dwa godne siebie prezenty: ospa zabijała i szpeciła ciało, alkohol stokroć gorzej działał, zostawiał przy życiu, ale znieprawiał duszę, zaćmiewał rozum i upadła całe jestestwo. I oto dziś w Ameryce stworzone są rezerwaty, duże obszary, na których są chronione resztki Indjan, postarano się o takie warunki, w jakich ten piękny duchowo i fizycznie szczerp żył jeszcze przed odkryciem Ameryki; czy alkohol

nie znajdzie doń drogi, czy dla podłego zysku przemysłowicy nie wejdą do wigmanów indyjskich, aby na powierzchni ziemi zetrzeć potomków królów Inkasów.

Szkodliwość alkoholu tak jaskrawo wystąpiła w Ameryce, na przykładzie wymierającego całego narodu, że w Stanach Zjednoczonych została wprowadzona prohibicja, to jest zupełny zakaz sprzedaży alkoholu do picia.

Ustawa ta została wprowadzona na usilne starania kobiet, po ciężkiej walce z tymi wszystkimi którzy ciągną nieuczciwe zyski z nędzy ludzkiej, ze słabości charakteru, z najniższych instynktów rodu ludzkiego. Wszyscy wiedzą, że ustawa ta dała okazję wyrzutom społeczeństwa do niesłychanych nadużyć, do nadzwyczaj wymyślnych sposobów podawania alkoholu tym obłąkanym, którzy nie umieją, czy chcą się go wyrzec. Kobiety nie ustają w pracy, aby zmusić do przestrzegania ustawy. Gdyż doszły one do przekonania o całej szkodliwości alkoholizmu.

Tak samo i w Polsce kobiety przyczyniły się głównie do powstania i uchwalenia w roku 1920 ustawy przeciwalkoholowej, one też jej broniły najusilniej. — Niestety, ustawa przeciwalkoholowa upadła, a na jej miejsce wprowadzona została nowa, dla ironji chyba tylko nazwana ustawą przeciwalkoholową, gdyż w rzeczywistości jest ona proalkoholową.

Niewątpliwie mężczyźni, lekarze, ekonomiści, sędziowie, wychowawcy tak samo, jak i my znają doskonale to spustoszenie, jakie alkohol czyni w organizmie człowieka, jego duszy, w ustroju społecznym, w charakterze dziecka, ale kobiecie wróg ten odbiera wszystko. To co stanowi treść i przeznaczenie jej życia, jej ognisko domowe, jej męża, jej dzieci, wszystko co ma najdroższego na ziemi. Wogóle każdy katalizm, każde nieszczęście, wojna, czy choroba przedewszystkiem w skutkach swoich spada na kobiety. Ale nieszczęścia te nie zdarzają się codzień, przychodzą i przemijają, i rany przez nie zadane z czasem się goją. Jeden tylko alkohol, w każdym kolonialnym sklepie wygląda przez okno,—na każdej zabawie czyha na swe ofiary, towarzyszem jest nieodstępnym, gdy obywatel świata przyjmowany jest do swego kościoła, gdy obchodzi dzień swego patrona świętego, gdy łączy się węzłem małżeńskim z drugą istotą ludzką, aby wspólnie pomagać sobie w życiu, aby dawać życie nowemu pokoleniu, aby utrzymać ród ludzki i zaraz na progu tego nowego, pięknego okresu swym brudnym oddechem plugawi święte węzły małżeństwa. W końcu, gdy Bóg powołuje człowieka w zaświaty, krewni i przyjaciele po oddaniu ostatniej posługi swemu bliźniemu, topią swój smutek w alkoholu. Musimy się zgodzić, że to chyba musi być szatan, kiedy potrafił tak stać się nieodzownym w każdej niemal chwili życia ludzkiego, że wszystkie najuroczystsze święta Narodzenia i Zmartychwstania Pańskiego, kiedy dusza człowieka wznosi się ku Stwórcy swemu, muszą być splugawione alkoholem.

Jeżeli gdzie jest odpust, to przedewszystkiem cieszą się z tego szynkarze, bo wiedzą, że ludzie czasem z daleka przyjdą, aby wspólnie z wielu innymi dostąpić odpuszczenia grzechów, a potem wpaść

w grzechu opilstwa, który zupełnie bez przesady grozi śmiercią ciała i duszy.

Tak, to chyba musi być szatan, że wszystkie stany, wszystkie klasy, ubodzy, jak i bogaci przywołują go na pomoc w radości, czy w smutku, że towarzyszy od chwili narodzenia aż poza grób. Wszystkie inne klęski nasycają się, ustają i jeden tylko alkoholizm jest nigdy nie nasycony, wciąż wyciąga swe obrzydłe macki po nowe ofiary, w miejscu jednej uciętej głowy, wyrasta mu sto nowych głów i tak, jak Matka Przenajświętsza starła według Ewangelji głowę jwęża, tak zwalczać tę straszną hydrę może tylko kobieta, bo jej przedewszystkiem ten potwór zagraża.

Jakże często marzenia kobiety o jej gnieździe domowem, o pięknej wspólnej wędrówce przez życie przy boku mężczyzny są brutalnie rozbite przez ohydny nałóg. Jakie straszne jest rozczarowanie, jaki cios w serce, gdy poraz pierwszy ujrzy kochane oczy zmętniałe pod wpływem alkoholu, gdy subtelny uśmiech jej spotka się z potwornym grymasem pijanego, a wszelkie ludzkie uczucia utonęły w kieliszku i zostały tylko zwierzęce instynkty. Wierście mi, że widok taki jest nigdy niezapomniany, bliźna po tej ranie nigdy się w duszy nie wygładzi.

Czy uprzytomniacie sobie zniszczenie, jakie w serduszkach dzieci czyni widok nietrzeźwych rodziców. Całe lata pracy nad wychowaniem dziecka może zniszczyć taka chwila. Bo i jakże ma dziecko stosować się do przykazania bożego, aby czciło matkę i ojca swego, kiedy rodzice ci stają się niżsi od każdego stworzenia, kiedy przekraczają wszelkie przykazania kościelne, kiedy pod wpływem przeklętego trunku popełniają wszystkie grzechy śmiertelne, bo niema takiej zbrodni, przed którą pijany się zawaha. Wszak ma rozum odebrany! A jak często stan nietrzeźwy jest okolicznością łagodzącą przestępstwo! Prawo powinno takich przestępców podwójnie karać, raz za pijaństwo, a drugi raz za popełniony czyn.

Matki, które podają dzieciom swoim truciznę są karane jako zabójczynie, a te, które przy chrzcie św. wlewają maleństwu kilka kropel wódki, chodzą po świecie, bo dziecko odrazu nie umiera, a kona powoli na ciełe i duchu przez długie lata i gangreną wszczepioną przy świętym obrzędzie zaraża każdego o kogo się otrze, bo trzeba bardzo silnej woli, aby nie ulec pokusie „wody życia“, bardzo silnego charakteru, aby oprzeć się namowom towarzyszy, bardzo mocnego ducha, aby zmieść przeciwności losu i nie szukać zapomnienia w zdradliwym pocieszycielu, mocnego przekonania, że postępujemy dobrze, żeby wytrzymać drwiny, jakie spotykają tych, co wyklęli alkohol i niewielu jest takich, co tę moc w sobie mają. A wychować takich mocarzy mogą tylko kobiety, które patrząc na potworne skutki pijaństwa zroszczyły, że alkohol musi być tak tępiony w życiu społeczeństwa, jak tępione są zarazki cholery lub dżumy, może jeszcze usilniej, gdyż jest szkodliwszy od każdej zarazy.

Kobiety na wsi piją chociaż bez porównania mniej niż mężczyźni, ale nie wyobrażają sobie, aby mogła być jakakolwiek uroczystość bez alkoholu w tej lub innej formie; robotnice i żony rzemieślników

przeważnie są ofiarami opilstwa, a co za tem idzie ruiny materialnej i moralnej, natomiast w sferach pracujących umysłowo mężczyźni dotychczas byli jakgdyby uprawnieni do picia, kobiety wstydyły się i stosunkowo mało brały udział w ohydnych zawodach, kto potrafi więcej wlać w siebie zabójczego płynu. Dziś, w dobie wyzwolenia kobiety, te nasze siostrzyce co niedorosły duchem do swobód obywatelskich, sądzą, że najlepszym dowodem, że mogą żądać równych praw z mężczyznami, będzie równa ilość wypitych kieliszków.

Nie myślą się: bo jak policjant spotka taką zalaną niewiastę, to tak samo, jak mężczyznę zabierze ją do komisariatu na wytrzeźwienie, niewiem tylko, czy o takie równouprawnienie im chodzi. Kobiety, które naprawdę żądają sprawiedliwości dla siebie, dla powszechnego dobra, przedewszystkiem muszą absolutnie wyrzec się używania alkoholu, muszą wygnać go raz na zawsze ze swojego domu, pod żadnym warunkiem nigdy i nikomu go nie podawać. Nie boimy się śmieszności, walczymy o zdrowie i życie naszych dzieci, walczymy o ich dusze! Jeżeli potrafimy wszystkie i każda z nas stworzyć z naszego domu, choćby z najskromniejszego, naprawdę miejsce wypoczynku dla naszych mężów i synów, jeżeli w tym domu będzie czysto, jeżeli żywność nawet najprostsza będzie porządnie przyrządzona i ładnie podana, jeżeli zamiast wyrzekań na swój los, będziemy starały się pomóc naszym towarzyszom w znoszeniu ciężaru życia, a w chwilach dobrych cieszyć się będziemy, jeżeli będziemy się starały brać udział we wszystkich troskach i radościach, to napewno nie potrzebny będzie alkohol ani na pociechę, ani do wesołości.

Jeżeli mężowi, czy synowi, który wyjdzie do pracy damy ciepłe śniadanie, nie będzie potrzebował kieliszka wódki na rozgrzewkę, a wiedząc, że w domu ma smaczny obiad nie będzie wchodził do handlu na przekąskę zakropioną kieliszkiem wódki.

Dzieciom nigdy nie dawajmy alkoholu szczególnie, że trzeba przełamać naturalny opór, jaki natura dała człowiekowi, tak samo, jak do tytoniu; Pierwszy kieliszek, tak jak i pierwszy papieros zawsze ohydnie smakuje i wywołuje mdłości, potem dopiero nieszczęśliwy organizm przyzwyczaja się. Jeżeli będziemy w dziecku widzieć takiego samego człowieka, jak my, tylko na niższym stopniu rozwoju, to przykładem swoim zachęcimy go do cnotliwego życia; wiemy, że nawet tresa dzikich zwierząt odrzuciła bat, jako środek wychowawczy, a natomiast łagodnością i dobrem obchodzeniem potrafiono obłaskawić najdzikszych mieszkańców puszczy, wobec tego o ileż łatwiej nam będzie trafić łagodnym słowem do dziecka, co ma wrażliwą duszyczkę i słowo nasze rozumie.

W najuboższym domu niech dziecko nie widzi złego przykładu, niech ma swoje tekturowe pudełko ze swojemi kijkami, czy kamyczkami, a o ile możliwe niech chodzi do świetlicy, a tam pod kierunkiem ochraniarki odrobi lekcje i zabawi się godziwie.

Wiem, że świetlica jest jeszcze mało, musimy dążyć z całych sił, aby ich było coraz więcej, a każda z nas może czemś się przyczynić do ich powstania.

Kiedy dzieci podrosną zapisemy je do związków harcerstwa, ta organizacja oparta na przykazaniu miłości Boga, Ojczyzny i bliźniego wypełni życie dziecka ćwiczeniami fizycznymi i duchowymi, wpoi wń świadomość jego obowiązków względem Boga i ludzkości, nauczy go kochać przyrodę, tę wielką cudną księgę pełną tajemnic, która chętnie odkrywa swe karty przed tymi, co w niej czytać umieją. Musimy jaknajwięcej zakładać klubów dla młodzieży i domów ludowych. W tych instytucjach, przy ciekawych pogadankach ilustrowanych przezroczami, przy śpiewach chóralnych, czy zebraniach, których zadaniem będzie porozumienie lub zaradzenie jakimś troskom, nikt nie oddaje potrzeby zamroczenia umysłu alkoholem.

Jednocześnie z zakładaniem instytucji, która da ludowi godziwą rozrywkę i wypoczynek po pracy, musimy dążyć do zmniejszenia ilości szynków.

Przepisy prawne są bardzo nieprzychylne tej pracy, wytrwałością możemy jednak je pokonać,—plebiscyty są utrudnione, ale jednak jeżeli zaciśniemy zęby, to możemy je przeprowadzić; a jak wygląda w praktyce ustawa o tem, że szynk może być tylko w odległości 100 metrów od kościoła w mieście to możemy sprawdzić w Krakowie.

Wokoło kościoła św. Barbary jest kilka szynków, naprzeciw kościoła Karmelitów dwa szynki są odległe tylko na szerokość ulicy, która niema ani 50 metrów szerokości zapraszają po nabożeństwie na kieliszek. Do samego kościoła Zmartwychwstańców przytulił się tu szynk — czy mamy tolerować tę ohydę? Ciężko nam będzie zebrać potrzebną ilość głosów w mieście czy to na wsi za wyrzuceniem szynku, wszyscy opoje będą protestować, ale my się zrażać nie możemy.

Poprośmy do pomocy księży, chyba najłatwiej z ambony wezwać lud do głosowania w sprawie szynków. Koniecznem jest zakładanie herbaciarni szczególnie tam, gdzie ludność przyjeżdża na tygodniowe targi. Zwykle plac targowy otacza żelazny pierścień szynków i w zimie obiecuje rozgrzać i zabawić. I wszystkie obietnice są przewrotne, wszystkie są kłamliwe,—alkohol nie rozgrzewa, chwilowo pod jego wpływem naczyńia krwionośne się rozszerzają, krew do nich napływa, szczególnie na policzkach i człowiek ma uczucie ciepła, ale w bardzo krótkim czasie następuje reakcja i wielu takich, co się na jarmarku dobrze rozgrzeli w powrotnej drodze zamarzli, bo organizm osłabiony alkoholem nie mógł się obronić od zimna.

A ta zabawa i wesołość przy kieliszku; owszem największa zabawa dla trzeźwego szynkarza, co patrzy na swoich gości, jak na przeklęty trunek czasem oddają ostatni grosz, a czasem i coś z domu — ostatnie buciki dziecka, czy jakie inne ubranie sprzedaje, aby zaspokoić swój żabójczy nałóg,—a jakaż radość dla rzezimieszka, kiedy opróżni kieszenie takiego wesołego pana, co nie zdążył wszystkiego przepić.

Kiedy ludzie trącają się kieliszkami to mówią na zdrowie, albo niech żyje i znowu szatańska przewrotność, bo nigdy żaden kieliszek alkoholu nie poszedł nikomu na zdrowie, każdy czyni szkody, które organizm musi naprawiać.

I po tej wesołości, choćby się ona nie skończyła kłótnią, bójką czy pojedynkiem a ciężkim tylko bezprzytomnym snem, dobrze jeszcze jeżeli

w domu, a nie w szynku pod ławką, albo w komisarjacie, przychodzi nazajutrz wstrętne uczucie, że się popełniło coś obrzydliwego.

I dziwne jest, że choćby nawet to była zupełnie „niewinna” zabawa przy kieliszku, to zawsze po niej pozostaje uczucie, że się zrobiło coś, do czego przed dzieckiem zawaha się przyznać ten, w kim jeszcze pozostało cośkolwiek człowieczeństwa. I to uczucie, to jest protest sumienia przeciw alkoholowi, jednocześnie przychodzi spełnienie życzeń „na zdrowie”, bo człowiek jest zawsze w większym lub mniejszym stopniu chory, głowa nieprzytomna, żołądek nie chce przyjmować pokarmów, ogólne zmęczenie i jako korona zdenerwowanie, które całemu otoczeniu daje się we znaki, jest powodem do kłótni i wywieraniu złości na dzieciach, które jako najslabsze nie mogą się bronić. I wcale to nie są obrazki z życia zawodowych pijaków, twierdzą, że bez wyjątku każdy, kto przed kilku czy kilkunastu godzinami wypił pewną ilość alkoholu, w większym czy mniejszym stopniu przeżyć musi taką stan. Najgorsze jest to, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jaka jest tego przyczyna, tylko wszyscy wokoło, czy to będzie najbliższa rodzina, czy podwładni w biurach, czy służba, jednym słowem cały świat jest winien, wszystko jest złe, tylko nie ten, co sobie rozum alkoholem zatruł.

Kiedy mówię o zwodniczych obietnicach, to wspomnę o pociesze w utrapieniach, o apomnieniu trosk, jakie daje alkohol.

To już chyba największy nonsens, jaki można było wymyślić, bo żeby zapomnieć o zmartwieniach trzeba choć do pewnego stopnia stracić przytomność, a potem przychodzi wytrzeźwienie a z niem jeszcze większa nędza i troski. Więc jedyna rada zapijać się codziennie, nigdy nie wracać do przytomności, aby w krótkim czasie litościwa śmierć wyzwoliła świat od fizycznego i moralnego potwora, jakim jest pijak.

Przeciwko niemu powstały olbrzymie zrzeszenia mężczyzn i kobiet w ligach Trzeźwości, w stowarzyszeniach abstynenckich,—największe powagi lekarskie codziennie we wszystkich uniwersytetach wykazując niszczycielskie działanie alkoholu, starają się zawrócić ludzkość z drogi wiodącej do niechybnej zguby, ale szatan alkoholizmu tak opętał swą nieszczęsną ofiarę, że pokonać go możemy tylko wszyscy, we wspólnym wysiłku.

I oto my, kobiety całego świata, co od przyjścia na świat chowamy człowieka, my, które zdawać będziemy sprawę z tego, jak wywiązałyśmy się ze swego świętego posłannictwa, my, co dałyśmy dowód, że potrafimy walczyć w polu z bronią w ręku, kiedy wróg zagrażał naszym siedzibom, dzieciom, naszej wierze i wolności, my musimy wszystkie, co do jednej, stanąć do pomocy tym, co już walczą o przyszłość i szczęście nie tylko jednego narodu, ale całej ludzkości. Musimy stanąć do walki z ohydnyim wrogiem, niszczycielem naszych ognisk domowych, zabójcą naszego szczęścia, trucicielem naszych dzieci i pokonamy go, bo Bóg nam w naszej świętej walce dopomoże.

Kraków.

Zofja Kwaśniewska.

WRAŻENIA Z AUDJENCJI U PREZYDENTA T. S. MASARYKA

Powracając do kraju ze studjów zagranicznych nad leczeniem nałogowców, chciałem ukoronować swój pobyt zagranicą przez poznanie jednego z najzasłużeńszych i najbardziej wybitnych działaczy w dziedzinie zapobiegania nałogów i zwalczania ich podłoża socjalnego, — jakim jest prezydent Republiki Czeskosłowackiej prof. T. G. Masaryk; to też jadąc z Paryża, zboczyłem do Pragi i dzięki łaskawemu poleceniu p. Revillod-Masaryk, córki prezydenta Masaryka, którą spotkałem w Genewie i uprzejmości osobistego sekretarza Prezydenta — dr. Szenka, już w przeciągu paru dni została mi wyznaczona audjencja na 3 g. po południu dn. 4 marca b. r.

Trafiłem do Pragi akurat w okresie obchodu 81-ej rocznicy urodzin Prezydenta Masaryka i mogłem się naocznie przekonać, jaką prawdziwą czią i ogromnym sentymentem darzą Czesi swego ukochanego „Tatinkę“ i poza stroną oficjalną uroczystości, jak bogatej dekoracji ulic i gmachów, na każdym kroku wyczuwało się odświętny nastrój i radość, a w kinoteatrach, gdy ukazywała się na ekranie wysoka postać Prezydenta, cała sala spontanicznie wybuchała entuzjastycznymi oklaskami. W dniu wyznaczonym punktualnie o godz. 3-ej dzwoniłem do apartamentów Prezydenta Republiki Czeskosłowackiej, mieszczących się we wspaniałym Hradczynie, zamku dawnych królów czeskich, który obok naszego Wawelu, jest jednym z najpiękniejszych zabytków średniowiecza. Znajduje się tam widomy znak dawnej wspólności historycznej tych dwu tak bliskich sobie kulturalnie narodów — Polski i Czech, w postaci najstarszej części zamku — Jagiellońskiej, sięgającej czasów Władysława Jagiellończyka, Króla Czech a syna Kazimierza Jagiellończyka. Po krótkiej chwili oczekiwania we wspaniałych salonach recepcyjnych zostałem zaprowadzony do obszernej i bogatej biblioteki podręcznej Prezydenta, skąd po krótkiej i miłej rozmowie z sekretarzem dr. Szenkiem, zostałem wprowadzony do sąsiadującej czytelnicy, gdzie stanąłem przed Prezydentem Republiki Czeskosłowackiej — Prof. Masarykiem. Prof. Masaryk wywiera duże wrażenie już tylko swoją powierzchownością — wysoki—prosto trzymający się starzec, z którego promieniuje spokój, powaga—dobroć i mądrość. Całe obejście się prezydenta Masaryka cechuje spokojna, ale życzliwa rezerwa, ogromna skromność i poczucie odpowiedzialności za każde wyrzeczone słowo, żywo ma się świadomość tego, że nadzwyczaj ujmujący sposób Jego bycia — jest czemś istotnym i płynie z głębokiego poszanowania samego człowieczeństwa, a nie jest jedynie tylko powierzchowną ładną formą, którą tak często operują ludzie, stojący na wyżynach społecznych. Wyczuwa się w Nim człowieka prostolinijnego i w ogromnej harmoniji z życiem, który, będąc głęboko etycznym, stoi ponad moralizatorstwem — człowieka, który dużo przeżył, dużo widział, — wie, że człowiek jest i zły i dobry, a jednak wyniósł głębokie przekonanie i wiarę w tę dobrą stronę natury ludzkiej, że ona dominuje i w przyszłości stale będzie się rozrastać.

Mówiliśmy w języku francuskim. Wyraziłem Prezydentowi Masarykowi w imieniu Polskiego Towarzystwa Trzeźwość i redakcji miesięcznika „Trzeźwość” wyrazy czci i wdzięczności za Jego niezłomne stanowisko abstynenckie, podkreślając znaczenie tegoż dla światowego ruchu abstynenckiego, gdyż fakt, że głowa państwa, wielkiej miary uczony i człowiek znany i szanowany przez cały świat jest ideowym abstynentem, nadaje powagi i splendoru całemu ruchowi abstynenckiemu.

Dziękując mi z dobrotliwym uśmiechem za gorące wyrazy, prezydent Masaryk stwierdził, że przyrzeczenia abstynenckiego nigdy nie zламаł... „dla mnie sprawa abstynencji była definitywnie zdecydowana na międzynarodowym kongresie przeciwalkoholowym w r. 1901 w Wiedniu; — tam usłyszałem argumenty, które mnie do abstynencji przekonały i powiedziałem sobie, że alkoholu do ust więcej nie wezmę — i nie wziąłem... Dawniej mogłem pracować w tej dziedzinie ideowo — brać udział w ruchu abstynenckim — teraz mam tyle innych ważkich spraw na głowie, którym muszę cały czas swój poświęcić”. Na moje pytanie — jakie metody zwalczania społecznego alkoholizmu, uważa za najcelowsze, a specjalnie jak zapatruje się na prohibicję — odpowiedział mi prof. Masaryk, że prohibicja jest dobra i celowa tam, gdzie istnieje możliwość jej przeprowadzenia — jak w Ameryce — w Czechosłowacji nie można nawet myśleć o jej przeprowadzeniu, bo ciała ustawodawcze składają się z ludzi pijących, więc z natury rzeczy antyprohibicjonistów. Zresztą Prezydent Masaryk uważa, że przeżywamy obecnie czasy, kiedy do ludzi mało przemawiają — hasła — choćby najszczytniejsze — czasy czynu — gdzie czyn jedynie ma silną wymowę. Może specjalnie silnie jest zaznaczoną tą cechą w obecnym społeczeństwie czeskim — to też propagandę przeciwalkoholową należy tam prowadzić w ten sposób, by wskazania wstrzeźliwości płynęły wprost z życiowego doświadczenia — z wiernie oddanych faktów; tak np. przypomina sobie Pan Prezydent, jak trafił do przekonania audytorjum, przytoczoną przez Niego obserwacją uczestników wyprawy do bieguna Amundsena, kiedy członkowie wyprawy w miarę zbliżania się do bieguna i zwiększania się koniecznych wysiłków, doszli do przekonania, że jeżeli chcą sprostać podjętemu zadaniu, muszą zupełnie zerwać z winem i wódką, gdyż tylko wtedy będą mogli wydobyć z siebie maximum wydajności. Jakkolwiek napięcie uczuciowe ruchu abstynenckiego w Europie obecnie naogół znacznie się obniżyło i nie ma już tej samej szczytnej bojowości, jaka cechowała ruch przeciwalkoholowy przed laty 30-stu — to jednak prof. Masaryk pogodnie patrzy się pod tym względem w przyszłość, gdyż ludzie teraz mniej piją, niż dawniej — a młodzież obecnie rzadko sprzeniewierza się trzeźwości. Przyczyny tego upatruje prof. M. w ogólnym rozwoju oświaty i spopularyzowaniu przykazań higieny, a przede wszystkim kolosalnemu rozwojowi w życiu społecznym sportu. „Trudno sobie wprost wyobrazić”, mówi p. Prezydent „do jakiego rozwoju i spopularyzowania — jak głęboko wszedł w życie Czechów — sport. Wprost w każdej najmniejszej wiosce istnieją związki sportowe place do gier — zawody”. Następnie przeszła rozmowa na wrażenia moje ze zwiedzania w Czechosłowacji instytucji zdrowia publicznego,

jak: szpitali, zakładów psychiatrycznych, instytut higieny i t. d., a przede wszystkim ogromnego zakładu „Masaryków Domów” na 2500 łóżek dla słabowitych dzieci, nieuleczalnie chorych i starców. Jest to wspaniała organizacja, której podobnej pod względem urządzeń higienicznych i technicznych, w całej Europie nie widziałem — nadzwyczajna czystość, bogactwo światła i powietrza, a przede wszystkim ogromna celowość i pomysłowość w rozwijaniu najmniejszego szczegółu zachwyca wszystkich zwiedzających, tak że jak opowiadają, zwiedzający swego czasu ów zakład król egipski Fuad miał powiedzieć, że żałuje, że nie urodził się Czechem, bo byłby szczęśliwy, mogąc spędzić starość w tak wspaniałych warunkach.

Cechą charakterystyczną opieki, jaką znajdują tam starcy i starszki jest konieczny przy tak dużym ich skupieniu rygor i ciągła kontrola nieledwie że zakładu psychiatrycznego, to też mimo wspaniałych warunków sędziwi pupile zakładu uskarżają się na brak swobody ruchu i możliwości wolnego rozporządzania swym czasem i czują się nieco jak ptak w złotej klatce. Prof. Masaryk wyraził powątpiewanie, czy ten rodzaj opieki nad starcami jest najbardziej celowym, czy nie lepiej byłoby za tak ogromne wydatkowane sumy zbudować całe kolonie małych domków w ogródkach, gdzie zdani na opiekę społeczną starszki mogliby wieść żywot możliwie swobodny i bardziej dostosowany do swych indywidualnych potrzeb. Pan Prezydent M. słusznie mniema, że i zmiana sposobu żywienia, zalecana przez obecnych higienistów i dyjetetyków, a mianowicie zastąpienie pokarmów przede wszystkim mięsnych i silnie korzennym na jarzynowo-mleczne, przy obfitem użyciu owoców, odbije się pomyślnie na zmniejszeniu używania napojów alkoholowych, kiedy ogół społeczeństwa zacznie się stosować do tych wskazań. Prezydent M. przekonał się na samym sobie, o ile lepiej czuje się, odkąd jada przede wszystkim pokarmy jarskie i jak pokarmy mięsne w większej ilości mu nie służą.

Czas szybko biegł na nader ciekawej rozmowie i ani spostrzegłem się, kiedy minęły godziny audjencjonalne i należało przez wzgląd na sędziwy wiek dostojnego rozmówcy i ważne sprawy państwowe, do których cały czas Jego należy — zakończyć tę, tak dla mnie cenną i niezapomnianą rozmowę. Na pożegnanie wyraził Prezydent Masaryk życzenie pomyślności i wiarę w rozwój polskiego ruchu abstynenckiego, jako cząstki składowej ogólnego dążenia ku doskonaleniu i szczęściu całej ludzkości..., ku postępowi, w który wiara jest najbardziej charakterystyczną cechą tej tak nieprzeciętnej i dużej miary osobowości.

Dr. Henryk Zajaczkowski.



Zarówno spostrzeżenia lekarskie i doświadczenia laboratoryjne jakoteż obserwacje, poczynione przez inteligentnych rodziców i w szkole oraz statystyka kryminalna wskazują, że alkohol jest dla dziecka silnym jadem fizycznym, umysłowym i moralnym, znacznie silniejszym, jak dla człowieka dorosłego. To też nieszczęsny zwyczaj dawania dzieciom trunków wysokowych, ze względu na ich dobro, stanowczo winien być zupełnie zaniechany.

Prof. Dr. Karol Klecki.

NAD SEKWANA.

(Fragmenty z reportażu powieściowego na tle emigracji robotniczej).

XLII.

W knajpie awantury hałasowały głośno i długo od samego rana. Co chwilę, nie wiedzieć z jakiego powodu jeżyły się kłótnie, przyskakiwały do siebie oczy, pięści, przekleństwa — —

— Chcesz? — — farby masz za dużo? — puścić ci? — co? — —
Trudno było rozerwać i uczynić ład.

— Kiedy zły dzień się trafi, to niech ręka boska broni. O byle co bójka za bójką. — Granda — łobuzerja. — Bida w mordę ich bije — Jeszcze im mało. — Ktoś upominał i łagodził.

Przed południem krzyki zmęczone, przepite spadły pod ławę i zdechły, a na stołach pozostało przyjaćielstwo i raczenie się serdecznością. Knajpa aż pękała od natłoku. Przyleżli szmaciarze, po sprzedaniu swoich skarbów, robotnicy z hali, włóczędzy, obrośnięci brudem i gałganami, wracający po kilkumiesięcznej wędrówce. Kto miał, to pobrzękiwał frankami i wykrzykiwał hulawczo:

— Ja stawiam — — Dawniej to ja — setkami — fiu-fiu — jak liśćmi.

Pochylały się głowy ku głowom, szepty ku szeptom, ręce ku rękom, i od jednych do drugich przepływały sprawy, tajemnice interesów im wiadomych.

Późno wtaszczył się Aleksander, trzymając na rękach kaszkiety, krawatki ukradzione rano gałganiarzom. Przeciskał się przez ciżbę i pod oczy wtykał.

— Kup.

Krzywiły się twarze.

— Nie.

Kiwnął głową przed murzynem.

— Jean — kup.

Ten obejrzał kaszkiety, przymierzył, ktoś mu skrawek zwierciadła podsunął więc mizdrzył się do odbicia w czarnym zachwycie do swej piękności.

— Ile?

— Dwa — Olek pokazał palcami cenę.

— Pół! —

— Na.

— Frank — psia twoja mać — murzyn ciął przekleństwo z rozmachem po polsku, ukazując pełne usta białego śmiechu.

— Nie chcesz kupić, to nie — ale nie drwinkuj.

Rozgniewany Aleksander wydarł mu towar, przepchał się na swoje miejsce. Wciśnięty w kąt żarłocznie patrzył na pijących, sięgał do wszystkich kieszeni i mozolnie wydlubywał centimy. Drobny ich dźwięk ważył w palcach.

— Mało! — Ścierwo! — — Te, postaw — — ja ci jutro — zwrócił się do sąsiada.

— Oko! — wyciśnij ze szkła — —

Bibl. Jag.

Ze zgiełku wyplątał się „kapuś” posiniaczony, splekany i prosto rznął do Aleksandra.

— Jezdeś Olek! — Szukam cię od rana — — Ja do ciebie! Gdzie twoja żonka.

— Co tobie do mojej żonki?

— Wuli niej mam interes.

— Pewnie śpi — —

— Gdzie?

— Zwyczajnie — Trepkami w dół — pod most — Hotel za darmo z łazienką w Senie i z ogródkiem pod drzewkami —

— Nie śmij się.

— A bo to mi źle? —

— Wczoraj Jędrak — kapuś ściszył głos i zamilkł.

— No? co się ślimaczysz? bo w arbuz! — zaraz z siebie wytrzęsiesz.

Twoja baba — widziałem — w nocy — chciałem przeszkodzić, leciałem za grandziarzem, a on mnie sprął — zaskamlał, rzucając wokół ślepiami — — teraz ja do ciebie po wspomogę. — Powi ci, że ja kapuś — — ludzi wydaję — nie wierz mu — cygan — o twoją poszło. Za co mnie biją? Co ci ludzie odemnie chcą? Jabyim kogo wydał? ja? ptaszkowi, muszce źle nie zrobiłem — jak pragnę Pana Jezusa przy skonaniu — trzaskał pięścią w pierś — uciekał z oczkami chytremi. — Wiesz, mam też wysyłkę, ale mi jeden porządny człowiek radzi co mam robić i nie wyrzucają mnie. Patrz — jakie mam podpuchnięte oczy — to od wczorajszego płaczu — — patrz, jak mnie pobili — kości nie czuję, poprzetręcali — podnosił nogawicę, chcąc okazać nędzę i klęskę swoją.

— Nie znać.

— Co nie znać! Nie widzisz? — o — o — pewnie w środku opuchnięta. Całkiem nie mogę chodzić — niby usiłował zrobić krok, zasyczał i upadł na ławkę — uj boli. — Dzisiaj trafiała mi się robota. Jakże iść? Ze 30 franków przeleciało mi kole nosa.

— Co ty tak ognem za sobą majtasz? Aleksander groźnie przysunął się. — Mów —

— Powiem ci — twoja Marta, wczoraj z Jędrkiem spała.

— Te! — cicho! — za gardziel porywczy go chwycił, zdusił mocno, aż kapusiowi gęba rumiana nabrzmiała. — Rznąłbym cię w pysk za to. — Żeby ona z kiem innym, a nie ze mną. — Żeby bym ci wytlukł.

— Ja do ciebie jak brat do brata, a ty tak — charczał kapuś. — Widziałem. Umawiali się nad Seną, a potem posli, jeszcze w bramie w świetle poznałem. Chodź zaprowadzę cię tam gdzie spali. — Napijesz się Oles? — co? — wypuszczony kapuś otrząsnął się, jak pies, po gorącej kąpieli — —

— Cobym się nie napił? — zgrzytnął zębami, zacisnął pięść w stronę drzwi. — Czekaaj — ona tu przydzie.

— Na zdradzie niczyjej nie stoję — zawdy ino za prawdą idę. — Każda żona nosi oszukaństwo w sobie pod święconą wodą. — I twoja ciebie oszukuje — podjudzał słodkiem głosem.

W kącie odsunęli się z flaszką i kapuś wyszczał z siebie słowo po słowie.

— W nocyś pijany spał pod ławką przy Miszelu — a ona wtedy — —

— Morde jej rozbiję — wysapał Aleksander.

— On narobił wszystkiego, on winien, czego babę skusił?

— Pies nie weźmie, jak suczka nie da.

Rozmowa zerwała się i zginęły pojedyncze wyrazy.

Właśnie bowiem Marta weszła w drzwi ze swoim węzełkiem.

Aleksander ślepiami raz cisnął i nic. Powoli wstawał, odsunął stolik, rozepchał gwar i olbrzymi, wyprostowany szedł groźnie milczący.

Mięśnie, szczęki zgrubiałe drgały od hamowanej wściekłości. Pod brodę pięścią trącił żonę.

— Patrz tu —

— Olek? — za co? — podniosła krzyczące oczy ku jego oczom.

Trzasnął ją raz, wydarł z tłoku, cisnął na ziemię, jak worek ze szmatami.

— Kamieniem w łeb. Tyleś ino warta.

Bez pamięci prał, kułakował w piersi, w brzuch.

Marta twarz zasłoniła chustką i łokciem. Mimo szaleńczych ciósów nie stęknęła, ani nie zajękła. Leżała u stóp wszystkich sponiewierana. Nikt nie ośmielił się bronić jej. Wszyscy pospuszczali oczy, odwracali głowy i wychylali gorączkowo szklanki — chyba nigdy jeszcze nie mieli takiego pragnienia. Pracuje na nią, — myśleli — to wolno ją bić — jego żona — jego prawo — jego miska, jego kij. Spała z innym, teraz mąż prawdziwy płaci za to. — Musi być sprawiedliwość. — Nie bronilibyś swego? co? Tyle jego — baba! tyle jego władzy — bicie.

W knajpie, zmartwiałej z przerażenia, rozległ się ochryply głos.

— Będziesz się łajdaczyła? powiedz! — będziesz? Czekaj cholero! wydrę z ciebie płacz, żebym miał zatłuc. Zacięłaś się! połamię kosteczki. Kto kogo przemoże? — rozjuszony uporczywem milczeniem kopał z coraz bardziej wzrastającą wściekłością. — Pódziesz jeszcze do chłopa? co? Poto cię żywię?

Nie wydarł z niej jęku, krzyku, skargi ani przekleństwa. Zmordowany coraz słabiej uderzał, aż bez sił odpadły ręce i nogi. Odsunął się na bok, dygotającymi palcami rozwiązywał węzłki, grzebał mozolnie, chcąc coś godnego znaleźć na sprzedaż. Chrypiał w szmaty.

— Żonę mam, a nie zdziwę dla wszystkich. — Taki wstyd. —

Ludzie powiedzą — Olek drań — swoją żonę na róg puszcza i przymusza, żeby zarabiała. Jestem uczciwy człowiek i swój honor mam — póki żyje — póki żyje. — Napracuję się, za gałganami chodzę, żeby miała, co potrzeba. Sera, śledzia, kości w śmietniku znajdę — n zjem — jej przyniosę. Łacham się po świecie, — a ona za to tak płaci. Jesteś przy mnie, to zdychaj ze mną do grobowej deski. Mało ci jeden chłop, byka ci trza? poślę po niego!

Marta leżała bez ruchu, plecy pod łachmanem wstrząsnął szloch raz, gwałtownie i zdawało się, że to podłoga targnięta zajękła. Powoli wstawała, dźwignęła z pod butów głowę, wsparła czoło o kra-

wędz ławy, potem o brzeg stołu. Siadła. Z trudem łapała dech dławiący ją, zachłystając się głosem swoim, niemym płaczem i powietrzem. Obciągała na sobie szmaty. Rozdartą chustkę zdjęła i trzęsącymi palcami składała. Uporządkowała, uładziła. Teraz jeden wysiłek, dotrzeć do drzwi. Nogi przywierały do posadzki, grzęzły, — martwiały.

— Ty francowata chadro — Aleksander trzasnął ją obelgą poraż ostatni. Już z chodnika odwróciła się. Zadygotała i splunęła wstydem i męką kobiecą.

— Jeżelim — jeżelim — to nie od kogo innego — ino od ciebie — —

Zatoczyła się parę razy, jakby swemi szmatami chciała zamieść bruk. Szła z głową pochyloną przez jezdnię, przez ryk, zgłęb. Z łoskotem, z gwałtem przewalało się życie. Tuż obok niej po gładkiej powierzchni ślizgały się koła, jakby goniły swój cień po słonecznym dniu. Przebrnęła wzburzenie, dotarła do swego celu i oparta na niskiej barjerze patrzyła w dół.

— Opopadał rozpościerała się rzeka, jak chusta kojąca i przepływała wskrós wszystkie chwile i przeżycia. W zapadłych oczach utknał jeden wyraz obrzmiały łzami, wargi napęczniały bólem, który jeno fale mogą obmyć. Zobaczyła. Wrzasnęła —

— Jędrak — —

Rzuciła się ku niemu, przebiegła skokiem oddalenie i teraz dopiero wybuchnęła płaczem.

— Chodźcie! chodźcie!..

— Co wam stało się? — pytał zdumiony i przerażony.

— Chodźcie.

Bez słowa, z szaleńczą siłą ciągnęła go przez zatory spiętrzonych aut, które pęd swój rozłamywały przed nieznaną parą włóczęgów.

Postawiła Jędrka przed Aleksandrem.

— Powiedzcie całą prawdę, jakbyście mieli dawniejszego naszego Boga przed sobą.

Przepchał się kapuś. Oczy pełne niebieskiego gniewu tryskały groźnymi spojrzzeniami. Przyskakiwał i wrzeszczał.

— Cygań! będzie — brał ją do siebie.

— Kusz — ty — gwizdnał Jędrak.

— Co ja?

Aleksander niespodziewanie chwycił Połańca za gardło i lunął go po chamsku w szczękę. — Żebyś drugi raz — mojej żony.

— Za co bijesz? — Jędrak odepchnął następny cios, aż przeciwnik zatoczył się i grzmotnął o ścianę. — Żeby ci wytlukę. — Co chcesz — co?

Aleksander gotował się do ponownego natarcia. W garści zacisniętej zadrgał nóż — zdradziecko wyciągnięty z fałd. Sprężył się, rozmach brał i już całą siłą — psiakrew — w bebechy...

Błysk ostrza znieruchomiał w półkolistym rzucie. Między ciosem a piersią Jędrka wpadł siepy jasiek : rozdarł walkę.

— No bij — czego czekasz? — wrzasnął w ślepia Aleksandra.

— Nie ciebie — tamtego drania — kichy wypuszczę, za to, co on...

— Widziałeś?

— On widział.

— Świniaś. — A ty — a ty — pchnął kapusia groźnie wzrokiem, aż tamten zadygotał i za plecy umknął.

— Co — obrażony Aleksander rękę podnosił.

— Zawrzyj pysk — pamiętasz — już byłeś w moich łapach, potrzasałem lekko i w przykopę. — Chcesz? trąć mocniej. — Jasięk w ślepia mściwie mu zadyszał. — Co chcesz? Baba twoja u Jędrka nocowała, a on do mnie przyszedł — tak było — ja ci mówię — wiesz kto? — ja! Ułtował się, bo chciała dzisiaj do rzeki. Ty nie wiesz, nie czujesz, tyle lat poniewiera się na kamieniach, po ławkach, po śmietnikach, tyle lat pościeli nie zaznała. Sprzykrzyło się. Za dużo w niej płaczu, za dużo bóleści przez ciebie, przez twoje pijaństwo.

— Nie spał z nią? — wysapał z ulgą.

— Wiem, widziałem! — chcesz — przysięgnę. — Marta. — Wiesz — święcona woda w naszym błocie. — Chrystus nad jej życiem płacze. — Święta między draniami.

Między pięściami niedawno zaciśniętymi, a groźną gotowością do walki, rozpostarła się cisza, jakby powietrze zmarło na przestrzeni całego szynku. Wszyscy zgodnie milczeniem oddychali. Znać było, że w piersiach Marty, rodzą się męczeńskie słowa i tylko cierpiące oczy wyjawiają ich prawdę. Z trudem coś przelykała, suchość płaczu, czy wspomnienia przerosłe bólem i przekleństwem.

Kapus skorzystał z chwilowego zamieszania. Zanim ktoś porwał się ku niemu, prześlizgnął się pod ścianę, przewrócił parę stołków, chcąc zagrozić grożący mu pościg, skoczył do drzwi i znieruchomiał na chodniku na tle policjanta błękitniejącego opodal na jezdni.

Pewny siebie wrzasnął w głąb knajpy.

— No chodził!

— Teraz toś mądry. Tamten cię pilnuje. — Jeszcze wradniesz w nasze łapy.

Za kapusiem z szynku flaszka wyleciała. Uchylił się, boby w łeb go trzasnęła. Nie czekał drugiej. Pomknął ulicą. Za uciekającym biegły groźby i obelgi.

— Draniaszku ze strachu spociłeś się, aż ci się z portek leje.

— Patrzta się — niedawno bolała go noża, a teraz jak przeje. Pogubi buty. — Czekaj judaszu, poprzetracamy ci gry.

Aleksander skwapliwie zaczął wytrząsać z kamizelki pył tytoniowy, oślinione niedopałki. Usiłował zlepować papierosa. Nijak nie mógł uporać się z nim. W bibułkę zakręcał mściwy szept.

— Za piórka cię przyprowadzę i w arbus. — Jak będzie potrzeba, to i na mokro. Nie daruję — za to — po-pa-mię-tasz...

— Widzisz Olek — pirwyj dowiedz się, jak i co — a nie odrazu. — Najgorzej z prędkości.

— Bicie nigdy nie zaszkodzi babie, choćby najsprawiedliwszej. Niech czuje, że ma chłopca, co ją pilnuje. Rozpuści się — to podre ją na takie kawałeczki — urągliwie podniósł łeb na wszystkich. — Taki ja.

Marta siedziała na boku. Nic nie rzekła. Strumień łez nagle chlusał z oczu. Nie ocierała. Spadały w fałdy kaftanika i śladu po sobie nie zostawiały. A tyle przez tę chwilę, bez głosu wyplakała, jakby w niej serce pękło i rozpryskiwało się. Potem dopiero ogarniała rękami z ławy, co było. Długo bezradnie krzątała się, coś wiązała i rozwiązywała, aż nakoniec zdjęła chustkę z głowy, kapotę z grzbietu i wobec zebranych wdziała najgorsze okrycie.

— Żebym tyle cierpiała — Jezu — wspomóż — Matko Przenajświętsza poratuj. — Niemy, targający szloch wstrząsał, jakby z piersi wyczarpywała serce swoje w każdym słowie.

Wyciągała łachy, obciskała je, przenosiła, układała, coś odrzucała, brała z powrotem. Ręce długo wykonywały ruchy daremne, mozoliły się, spieszyły dokąś, nieruchomiały w pustce, dalej brnęły przez małe oddalenie, podnosiły i opuszczały ogromne ciężary. Nareszcie uczyniła ład i węzełek podsunęła mężowi. Zawinęła się chustką kurczowo. Rozejrzała się jeszcze po knajpie. W niej darła się dusza. Teraz prosto przed siebie. Jakże daleko do drzwi. Minęła Aleksandra. Poplątały się nogi. Zawróciła. Stanęła naprzeciw. Zagubił się głos. W oczach krzychało milczenie. Całe życie w ogniu i we łzach. Wszystkie siły, wszystek ból pod nogi jemu. Słowa ostatnie krwawiące się na poruszających się wargach.

Żebym mogła, tobym ci krzywdą każdej mojej godziny w pysk dała. Zostawiłam ci łachy — będziesz miał za co pić. — Ino to bierę. — patrz — nagłym ruchem rozchyliła kaftanik i pokazała nagość, nędzę swoją. — Bez koszuli — żebyś do grobowej deski widział moją krzywdę.

Już na nikogo nie spojrzała.

Aleksander tyłem odwrócił się, rozparty siadł i gębę rozdziawił w obelżywym śmiechu.

— Twarde masz serce — szewc siedzący najbliżej błysnął okularami — młotek mój ma miększe. Czasem i on zeznoji się. — Zaczął stukać, swoją rzecz robić mrucząc. — Buty podra się — pozszywasz kamień pęknie, nie skleisz, serca też.

— Mam twarde, bo tak trza.

— Odwróciłeś się odniej. Czasem człowiek nie śmie i nie może pożyć na swoje świństwo, a teraz tyś zrobił wielkie świństwo.

— Że co?

— Że nic.

— Zbiłem i jeszcze zbiję, będzie wiedziała, że jakby co jutro, to tak samo. Z babą trza umieć. Byłe czem nie mięknać. Trza, o tak w ręce trzymać, to ją ciśniesz, w którą stronę chcesz — bo inaczej, ona na ciebie z pazurami. Nie bójtą się nic, nie straci do mnie serce. Żebym ją kamieniami tłukł, a ona na styrcie kamieni siedziała, to jednego na mnie nie podniesie, żebym jej ceęły kazał gryźć, to będzie gryzła i skamlała. — Oleś! Oleś! czegoś taki. Ona przy mnie jak pies przy budzie na łańcuchu. Taki ja majster. Daleko nie odyńdzie. Ino na złość

nie będzie ze dwa dni jadła. Taką będzie miała uciechę. Nie sprzeciwiam się, niechże się pocieszy czem może.

Kilku śledziło Aleksandrową przez okno. Cień odchodzącej zmałał i znikł. Jedno krótkie słowo stoczyło się.

— Poszła.

— Pospaceruje się, wygrzeje, a dzisiaj ładnie słonko świeci — zaśmiał się Olek.

— Żeby sobie czego złego nie zrobiła.

— Ona!? — E! — mruknął z pogardliwą przechwałką. Rozparł się mocno, wyciągnął łapy — ja za nią nigdzie nie pójde. Zaraz straciłbym całą swoją moc. Nie tylko w głowie, ale i w garści trza mieć rozum. Nieraz gorzej ją sprąłem, a zaraz potem pudelek na czterech łapkach — wykrzywia gembusią, podskakuje, sklamrze — ino w oczy Olek — Olek. — Bicie to nic. Gorzej było. Nie miałem ino tyle, co na sobie, a ona bogaczka była. Wszyscy na nią. — Zmarni cię. — Co mi życie bez niego. Ona do roboty, a ja do karczmy — koguta pod pachę, ścierwo wrzeszczy, więc jego łeb pod skrzydło i żydowi. Wypiłem miareczkę, potem drugą i w głowie karuzela. Poszły króweczki, koniczki — a ona nic, poszło pole — a ona ino po kątach — Jezu — ojcowizna, dziadowizna! Poszła chałupa. — Przepiłem. Potem ze wsi w świat. — Olek ino z tobą — na bidę — na śmierć. Taka ona — taka ona. — Teraz siódemkę w rękę i gałganki zbieram — hu! ha!

Siedział, pił i wykrzykiwał.

— Jędrus — na przyjacielstwo! — Chodź — już nigdy nie przydziemy na krzywe pyski. — Chcesz bebechy dla ciebie wytrzęsę. — Nie dziwny się. Co byś ty robił? — kapuś przychodzi, szczuje i szczeka — on twoją żonkę tak — a tak wczoraj. Honor swój mam. Cobys ty zrobił? Co?.. Widzisz ja tak samo. Ja mu jeszcze. Popamięta. Stołeczkiem w arbus i zara łapkami dryga — a potem sobie śpiwam o kapusiu i o żonce mojej. Jędrus — ona — dobro — ino ja drań. — Te se widz. — Oparł łeb o krawędź. Jędredek pij — tyle nam zostało.

(Dokończenie nastąpi). Kraków.

Jan Wiktor.

W ZDROWEM CIELE ZDROWY DUCH *)

Jedni tę łacińską sentencję „mens sana in corpore sano” tłómaczą, że w zdrowem ciele panuje zdrowy duch — inni twierdzą, że jest pożądanem, aby w zdrowem ciele zapanował zdrowy duch. Wydaje mi się to drugie tłómaczenie właściwsiem. Czyż nie mamy wielu ludzi

*) Odczyt urządzony z inicjatywy p. Dyrektorki Gimnazjum Wołowskiej i ks. proboszcza A. Tomczyckiego we wsi Górki w puszczy Kampinowskiej 3 maja, ku uczczeniu rocznicy Konstytucji. W wyniku odczytu i dyskusji, projektuje się założenie w Górkach i okolicy kilku kół T-wa „Trzeźwość”.

silnych i zdrowych, a jednak bardzo słabych umysłowo i duchowo, jak również niejednokrotnie widzimy wielkie umysły, wielkie dusze, wielkie talenty, w wątłym, chorobliwym ciele. Tu wspomnę wielkiego syna ziemi Sochaczewskiej, człowieka wielkiego talentu, europejskiej, a nawet wszechświatowej sławy, człowieka, który żył w pierwszej połowie zeszłego wieku, a który do dnia dzisiejszego jest sławą i dumą narodu Polskiego, który imię nasze rozgłosił po całym świecie — mówię o znakomitym muzyku Fryderyku Chopinie — ten wielki duch zamieszkał niestety w słabym ciele — ciele suchotnika, przedwczesna jego śmierć przecięła wielką jego twórczość, która w innych warunkach mogła być daleko obfitszą i bogatszą. Takich przykładów mamy dużo — chciałbym jednak zatrzymać się na kilku, będzie mi to potrzebne dla dalszego wyjaśnienia mego tematu. Wielki duch, jaki panował w małym ciele króla Władysława Łokietka, tego małego karzełka, który zaledwie dorastał do łokcia zwykłego mężczyzny, a który był nie tylko wielkim wojownikiem, ale i wielkim politykiem i bardzo rozumnym administratorem kraju — ten król był więc wielkiego ducha pomimo małego, słabego ciała. Natomiast inny król polski August, zwany Mocnym, był bardzo silnej budowy, trudno było znaleźć konia, któryby się pod nim nie zalał, giął z łatwością sztaby żelaza, łamał podkowy, w palcach rozgniatał srebrne talary, a duch był niski, mały, nikczemny. On pierwszy, będąc królem polskim, zaprojektował rozbiór Polski, porozumiewał się w tej sprawie z Piotrem Carem Moskiewskim i Cesarzem Niemieckim i za nędzne talary chciał sprzedać, zdradzić Polskę, która mu zaufała. Życie pędził niemoralne, za jego czasów pełno było intryg na dworze królewskim, więziono ludzi niemiłosiernie, zabijano skrycie. On wprowadził do Polski rozpustę i pijaństwo, mówiono wtedy: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa”. To był ten straszny okres, który zakończył świetne czasy Wielkich Piastów i rozumnych Jagiellonów — a rozpoczął okres upadku Rzeczypospolitej. Niezmiernie był już potem trudny ratunek, Państwo widocznie schylało się do upadku, zatruty rozpustą i pijaństwem organizm państwowy, tak jak poszczególny człowiek dotknięty strasznym nałogiem pijaństwa i zatruty alkoholem, nie mógł znaleźć ratunku. Nieliczni, a świątli i rozumni obywatele zamierzali ratować państwo przez uchwalenie rozumnej konstytucji, której rocznicę dziś, w pamiętnym dniu 3 maja naród polski świętuje, rocznica ta, ten wielki dzień — był dniem otrzeźwienia, opamiętania się — od strasznych Saskich czasów, — ale tak, jak pijaka źli sąsiedzi, co go chcą okraść i ograbić, nie wypuszczają z karczmy, a przeciwnie siłą go nazad zaciągają i zmuszą do dalszego picia, tak i nam nie dano się opamiętać, upojono nas pozorami swobód szlacheckich, których protektorami i obrońcami ogłaszali się Katarzyna Moskiewska i Fryderyk Pruski, a nawpół pijany tłum szlachecki pod wodzą sprzedajnych magnatów zkonfederował się w Targowicy w celu zwalenia konstytucji, jedyne jak na owe czasy ratunku.

Tu znowu widzimy, że w zdrowym, silnym i możnym organizmie państwowym polskim zatruto ducha i stworzono organizm państwowy słaby, bezbronny, który źli sąsiedzi prawie bez sprzeciwu rozszarpali. Sto z górą lat niewoli skończyło się nareszcie wyzwoleniem, zdobyliśmy

własne państwo, ale to jeszcze nie wszystko, — w tem państwie trzeba umieć żyć, trzeba wyzbyć się strasznych nałogów, trzeba odbudować ducha, trzeba zaczerpnąć z bogatej skarbnicy dawnych naszych czasów, trzeba wskrzesić wielką polską myśl, a wyrwać straszne chwasty, które się zagnieździły za czasów Saskich, i rozplenily za czasów niewoli, musimy rozpocząć życie nowe, proste, uczciwe, pełne poświęcenia.

Jeżeli dziś, po dwunastu latach naszej samodzielności, zastanowimy się nad tem, cośmy uczynili, to ze smutkiem musimy stwierdzić, że zaledwie mały, krótki pierwszy okres był okresem wielkiego poświęcenia, uczciwej pracy dla odbudowy państwa, bardzo prędko zesłiśmy z tej drogi i niestety idziemy stale ku zgubie, żywy nowopowstający organizm państwowy, który miał wszelkie zadatki na wytworzenie zdrowego organizmu państwowego, został przez złych rządcielei zatruty straszną chorobą, a warunki nasze z każdym dniem się pogarszają, odczuwa to wyraźnie każdy myślący obywatel.

Dorywali się do władzy ludzie, dla których użycie było jedynym celem, niedawne jeszcze czasy, kiedy ministrów szukano w znanej w Warszawie knajpie pod Bachusem, obecnie zaś doradzają odszukiwać niektórych młodszych ministrów w nocnym kabarecie, zwanym „Oaza”. Widać nie dano nam wyleczyć się z trucizny zaszczipionej przez Sasów i nawet stuletnia niewola nie skłoniła nas do opamiętania się.

Gdy kryzys z każdym dniem się zaostrza i coraz trudniej związać końce z końcami, nasi rządciele uznali za konieczne powiększyć liczbę szynków, gdyż wyobrażają sobie, że nędzarz, który już nie może płacić podatków, wyduci jeszcze ostatni grosz i przyniesie go do kas skarbowych za wódkę, za alkohol. Nie odstrasza ich przykład sąsiedniej Rosji, gdzie forsowanie monopolu i budowanie budżetu na rozpajaniu ludności doprowadziło do ostatecznej klęski, do Bolszewizmu. Wyobrażają sobie oni, że da się w ten sposób przetrwać i przeczekać kryzys.

Wielkie złudzenie, — zatrutowanie ludności alkoholem tylko spotęguje kryzys, tylko powiększy nędzę i biedę w kraju, musi to widzieć każdy, kto się trzeźwo na rzeczy patrzy, musimy i my to zrozumieć, a rozumiejąc musimy działać. Prawo — ustawy dają nam do ręki najlepszą broń — uświadomienie społeczeństwa i wciąganie najszerszych mas ludności do szeregów ludzi zwalczających wszelkie nałogi, to nasz największy obowiązek.

Nie używajmy alkoholu, powstrzymujmy się od palenia tytoniu, a zaoszczędzony grosz oddajmy na naukę naszych dzieci, na oświatę własną — tylko w ten sposób przetrwamy straszny obecny kryzys, tylko na tej drodze przyczynimy się do zbudowania wielkiej, potężnej i mocarnej Polski. Trzeźwy polski obywatel będzie najlepszym budowniczym wielkiej, trzeźwej Polski.

Aleksander Iżycki.



Alkoholizm rujnuje społeczeństwo nie tylko pod względem zdrowia fizycznego i duchowego, ale zarazem i pod względem ekonomicznym
Prof. Dr. Karol Klecki.

TRADYCJE P. PUŁKOWNIKA PUZO PRZENIESIONE DO POLSKI.

„Przełkniesz kęs, posmakujesz, a tam
chłopniesz... Czyściuchońka ona jak ta
łza niewinności”.

Andrzej Strug: „Klucz Otchłani”.
str. 188.

Zachwyt p. pułkownika Puzo po przypomnieniu starych — o i jak-
że dobrych czasów byłej służby w byłej „chrabrej” armji rosyjskiej.
A tu jacyś „pomyleni” mówią o szkodliwości alkoholu?!

Bajki, panowie, „przełkniesz i chłopniesz” ot i zdrowo!

Że tam kiedyś, gdzieś „dziki” azjata „chrabrym” żołdatom kazał
pić zwykłą wodę — to i żadna racja, aby „Chrystolubiwoje” wojsko
musiało go naśladować. Wiadomo: „im kto lepiej pije — to i lepiej
bije”.

A że pijąc, przegraliśmy z „Japońcem”, no toż „nie pijąc” prze-
graliśmy z „germańcem”.

Tak źle i tak niedobrze, eh ma! Ot szczęście w nieszczęściu!

Objawiła się Polska, a w niej rodnoj „możno” i wypić i — ot —
biciu to nie przeszkadza.

Piliśmy — a przecież — pobiliśmy, wojnęśmy wygrali, to znaczy:
że trzeba pić, no i bić.

Niech żyje Polska!

Niech żyje sławne wojsko polskie!

Niech żyje, jeżeli już nie „sminnowka” tedy „Baczewskiemu” or-
der za jego sławnu wódkę! Isz — Polak — a licom nie udarił, tak,
sławna „Baczewska”. Sławny woin, sławno pije i sławno bije! Biedne,
wy sieroty. Niema „Matuszki” Rassieji. No! — Niech żyje Polska!
Amen.

Tomasz Nocznicki.

POPIELISKO

powieść

I. W podróży.

Do odjazdu pozostało zaledwie pięć minut. Przepelniony pociąg
stał już w żarze czerwcowego ranka na dworcu Wschodnim w Warsza-
wie. Anka przesuwiała się szybko za ciotką wśród natłoczonych kory-
tarzy. Z niepokojem uświadamiała sobie, iż za kilka minut po raz pierw-
szy wyruszy sama z Warszawy. Nie było jednak czasu, aby zastanawiać
się nad tem, gdyż poszukiwanie siedzącego miejsca przykuwało całko-
wicie uwagę.

— Nareszcie damski przedział, — powiedziała z ulgą ciocia, otwie-
rając drzwi.

Wewnątrz na ławce leżał student; przy nim siedziała młoda panna.

— Pan będzie łaskaw bezzwłocznie wyjść na korytarz!

Mimo protestów towarzyszki, wstał i natychmiast opuścił przedział. — Anka wysunęła się z poza postaci swej opiekunki i stanęła w progu. Podniecona drobnymi zdarzeniami paru ostatnich godzin, podświadomie pożegnała się z ciotką. Ta, nakreśliwszy znak krzyża nad pochylającą się do jej ręki dziewczyną, spiesznie wyszła z wagonu.

Po chwili dano sygnał i pociąg z wolna ruszył.

— Serdecznie panią proszę, niech pani pozwoli memu bratu przyjść tutaj! Ponieważ są tylko dwie ławki, ja bardzo chętnie wyjdę na korytarz. Brat mój jest chory; odwożę go aż na Krym. Jeśli postoi dłużej w tym dymie...

— Ależ naturalnie, że zmieścimy się wszyscy troje, rzekła Anka, — Jeśli brat pani ulokuje się na górze, być może, iż konduktor nie będzie oponował. Nam obydwum na dole będzie zupełnie wygodnie.

Gdy student wszedł do przedziału, nastąpiła wzajemna prezentacja.

— Daleko pani jedzie? — spytała nieznajoma.

— Do Lubomla. To podobno gdzieś koło Kowla.

— Szkoda, że nie wybrała się pani nocnym pociągiem; tym zajdzie pani na miejsce późnym wieczorem. Czy daleko od stacji?

— Zdaje się, że około 40-tu kilometrów, lub może nawet więcej. Ponieważ jednak poraz pierwszy jadę sama tak daleko, obawiano się, że w nocy w pociągu nie będzie mi zbyt przyjemnie.

— W takim razie końmi będzie pani jechała po nocy?

— Tak, ale niedaleko; zaledwie kilka kilometrów. Jadę do stryja, który polecił swojemu przyjacielowi wyjechać po mnie na stację. Ten pan ma blisko swój majątek. Tam zatrzymam się na noc, rano zaś przyjadą po mnie konie z Konarzyc.

Rozmawiano o tem i owem, głównie o różnorodnych zdarzeniach na pensjach, które obiedwie panny dopiero co ukończyły.

— Bardzo się cieszę, — rzekła Anka, — że będę mogła nareszcie trochę odpocząć. W czasie egzaminów dużo było pracy.

— I ja wiem coś o tem; w ciągu ostatnich tygodni często spałam zaledwie po parę godzin na dobę. Tak trudno było rano wstawać.

— Mam na to wypróbowany sposób: jeśli nie mogłam spać w nocy przynajmniej sześć godzin, to wolałam nie kłaść się wcale, gdyż nigdy nie wiedziałam, czy będę miała dość siły, aby wstać o oznaczonej godzinie.

— No i?...

— I klękałam poprostu przy łóżku, opierałam głowę na kołdrze i zasypiałam. Pozycja była tak niewygodna, że po paru godzinach musiałam się podnieść.

Obiedwie roześmiały się serdecznie.

— Trochę było mi przykro rozstawać się z Warszawą — mówiła Anka — tembardziej, że nie wiem, czy prędko do niej powrócę. Stryj wspominał w liście, iż postara się dla mnie w tych stronach o posadę.

— Nie zazdrozczę pani; — rzekła towarzyska — najlepsza wieś nie zastąpi miasta, a tembardziej stolicy.

Około południa upał i głód począł wszystkim dokuczać, postanowiono więc się posilić.

— Może pani napije się koniaku — spytał student.

— Dziękuję. Tak rzadko piję, że zawsze się krztuszę, zanim przełknę. Widocznie mi nie służy.

— Ależ, proszę pani, to koniak najlepszej marki. Ja, student medycyny, napewno nie namawiałbym panią na nic takiego, co może zaszkodzić.

— Mojemu bratu, — wtrąciła siostra — niebardzo służy większa ilość wódki. Jeśli wypije kilka kieliszków, zaraz gorzej kaszle.

Anka wzięła do ręki podaną szklaneczkę, napełnioną do połowy złotym płynem — i spytała:

— To poco pan to pije, jeśli mu nie idzie na zdrowie?

— Koniak — to lekarstwo. Wódka trochę mi szkodzi, szczególnie teraz, gdy jestem niezupełnie zdrowy.

— W przeddzień wyjazdu urządzono mu pożegnalny wieczór — rzekła siostra. Życzeniom zdrowia i toastom nie było końca. Potem przez całą noc był chory. Myślałam, że trzeba będzie odłożyć wyjazd.

— Nie rozumiem, jak można pić to, co szkodzi? — rzekła Anka.

— Nie rozumiem, jak można trzymać tak długo dobroczytny napój w rękę i nie pić? — śmiejąc się, odpowiedział pytaniem.

Anka wychyliła zawartość szklanki jednym haustem i zakrztusiła się. Łzy stanęły jej w oczach. Rodzeństwo, żartując, nalewało sobie koniak wzajemnie, następnie zabrano się do kurcząt. Młodzieniec jednak wkrótce odłożył jedzenie, gdyż kaszel począł mu bardzo dokuczać. Gdy atak minął, rzekł do Anki cichszym, jakby zmęczonym głosem:

— Wiem, że wódka trochę mi szkodzi. Często jednak nie można wyłamywać się z pod ogólności nastroju. Człowiek, który nie chce pić w towarzystwie, staje się śmieszny; poprostu uwaga wszystkich kieruje się w jego stronę.

— A czy mimo to nie można wytrwać w postanowieniu, — spytała Anka.

— Jeśli chodzi o ostatni wieczór, nie chciałem, żeby pomyślano, że już umieram. A zresztą czy warto pozbawiać się w życiu przyjemnych drobniactw.

— Nie wiem, czy to jest drobiazg i czy przyjemny — zaśmiała się Anka. Wiem tylko, iż do tej pory drapie mnie w gardle.

— Pani jest jeszcze tak młoda, — odparł, — że najlepiej lubi zapewne mleczko.

— Widocznie chce mi dowieść, że uważa mnie za smarkacza — pomyślała.

— Płam już nieraz — rzekła z lekką urazą — ale sądzę, że picie lub niepicie — to nic znów tak ważnego, żeby temu poświęcać zbyt wiele uwagi.

Nie przypuszczała nawet, że kiedyś życie obali to jej twierdzenie. Butalnie przekona, iż „przyjemny drobiazg” może spopielić czarownicę i płomień, jaki zowiemy szczęściem.

Mimo, iż był to długi dzień czerwcowy, nie spostrzeżono nawet, jak zaczął zbliżać się wieczór. Ciężkie chmury osłaniały niebo. Chwilami zrywała się wichura. W miarę zbliżania się do celu Anka traciła spokój. Wyczuwała nieokreślony lęk przed obcym i pustym domem, w którym miała nocować.

Wiedziała z listu stryja, że pan Witold Narzymski mieszka sam i jest „niebezpiecznym” dziwakiem. Wprawdzie wyraz „niebezpieczny” był zabezpieczony cudzysłowem, tłumaczyła go sobie jednak dosłownie, szczególnie w danej chwili, gdy była zdala od domu, a każda minuta zbliżała ją do nieznanego celu.

Dochodziła północ, gdy konduktor odebrał bilet do Lubomła.

Pożegnawszy się śpiesznie z rodzeństwem, chwyciła walizkę i wybiegła na korytarz.

Pociąg zagwizdał i stanął. Otworzyła drzwi wagonu. Na dworze hulał wicher i było zupełnie ciemno. Wzdrygnęła się. Teraz dopiero uświadomiła sobie, iż najbardziej boi się czarnej pustki, w którą się za chwilę pograży. Zeskoczyła z wysokiego stopnia w piasek nasypu. Tuż przed nią wyłonił się z ciemności jakiś człowiek z latarką.

Tymczasem pociąg z wolna ruszył.

Czy to Luboml? — spytała.

Nie, pani. Luboml, to następna stacja.

— Boże drogi! — krzyknęła, — proszę mi pomóc, muszę pojechać dalej! Przecież tam konie!... — wołała z pośpiechem.

— Człowiek postawił na ziemi latarkę, podniósł Ankę do góry i niemal wrzucił na stopień najbliższej przejeżdżającego wagonu. Za chwilę zobaczyła w promieniu stojącej latarki, jak podniósł walizkę do góry i podbiegł ku stopniom sąsiedniego wagonu. Teraz dopiero spostrzegła, że zgubiła kapelusz i wiatr targa jej włosy. Ostrożnie otworzyła drzwi i weszła do wnętrza. Był to wagon trzeciej klasy; poprzez siną mgłę dławiącego dymu machorki dojrzała uspiionych po kątach chłopów. W głębi ktoś grał na harmonijce. Na jednej z ławek chichotała baba; nad nią, kiwając się na niepewnych nogach, stał pochylony chłop i powtarzał dwa wiersze piosenki ochryplym fałszywym falsetem:

...Za Marusiu rubla daw

...Bo Marusiu spodobaw...

Cofnęła się z odrazą. Na szczęście zjawił się konduktor. Upewniwszy się, czy ma wysiąść na następnej stacji, prosiła go, by pomógł jej odnaleźć walizkę. Pragnęła dojechać już coprędzej. Tymczasem długie chwile mijały, a pociąg nie zwalniał biegu. Anka nie miała pojęcia, że odległości między stacjami mogą być tak duże. Z przerażeniem myślała, co byłoby się stało, gdyby wysiadła na poprzedniej. Była tak podniecona i zmęczona, że myśl o zaginionej walizce nie wywierała na niej żadnego wrażenia. Wreszcie gwizd rozdarł powietrze i pociąg się zatrzymał. Tym razem bez wahania zeskoczyła ze stopni. Jednocześnie podszedł konduktor i postawił koło niej walizkę. Za chwilę pociąg odjechał. Wdali migotała na wietrze mizerna lampka stacyjna. Z drugiej strony budynku błyszcząły dwie latarnie powozu.

Ku Ance zbliżał się wysoki mężczyzna, którego postać w mrokach nocy nabierała gigantycznych rozmiarów.

Czy pani z Warszawy?

— Tak.

— Jestem Narzymski; przyjechałem po panią.

Podając mu rękę, podniosła głowę, aby spojrzeć na olbrzymiego opiekuna, lecz ciemność osłaniała wszystko dokoła, a potargane włosy nie pozwalały jej nic dojrzeć.

Zbliżyli się do powozu. Otworzywszy drzwiczki, Witold Narzymski wszedł za Anką.

— Po chwili wyjął z kieszeni papierośnicę i spytał:

— Pozwoli pani zapalić?

— Proszę.

W świetle płomyka zapalniczki ujrzał, jak siedziała skulona, ze spuszczoną głową, wtuloną w kołnierz płaszczyka. Miał wrażenie, że drżała z zimna.

Sięgnął więc po pled i okrył ją, jak umiał najstaranniej. Gdy poczuli, że nachyla się nad nią, nie uniosła głowy. Niewiedomo skąd wyłoniła się z pamięci śpiewana ochryłym głosem piosenka:

...Za Marusiu rubła daw,

Bo Marusiu spodobaw...

Na razie myśli jej błądziły chaotycznie w promieniu ostatnich wypadków; miała wrażenie, że jada już nieskończenie długo. Powoli zaczęła ją ogarniać ciepło. Zasnęła. Gdy powóz stanął przed gankiem, Witold Narzymski wyskoczył i zawołał:

— Przyjechaliśmy!

Anka pozostała bez ruchu. Przekonawszy się, że śpi, wziął ją delikatnie na ręce i zaniósł do pokoju.

Na kominku, miejscowym zwyczajem, paliły się polana.

Witold delikatnie posadził śpiącą w fotelu. Zwykle budziły ją lada szmery, lecz dzisiaj zmęczenie, chłód i wiatr, a najbardziej emocja ostatnich godzin, zmorzyły ją niemal chorobliwie. Osuniętą na poręcz głowę śpiącej złociły odblaski płonących szczap. Wydała mu się drobna, mała i bezradna. Dotknął jej ręki; była zimna. Podszedł więc do kredensu i nalawszy duży kieliszek wiśniaku, zbliżył się do uspięonej.

— Proszę się obudzić, powiedział cicho.

Delikatnie odgarniał jej włosy z czoła. Pod wpływem dotknięcia poczęła się budzić, lecz blask ognia nie pozwalał otworzyć oczu. Zastłoniła je ręką — i widać było, iż odzyskuje świadomość. Podał jej wtedy kieliszek i rzekł:

— Proszę to wypić; pani zziębła, trzeba się rozgrzać.

Machinalnie spełniła, o co prosił. Do pokoju weszła służąca.

— A toż, proszę pana, Malusia chora i jęczy.

— Ulina nie wie, co jej się stało?

— Płoszy po polach zające, to i może kto postrzelił. Przyleciała do domu wieczorem, ta i stęka, aż uszy bołą.

— Niech Ulina zaraz przyniesie samowar; panienka zmęczona — dodał i śpiesznie wyszedł z pokoju.

W kącie kuchni leżała wyźlica. Gdy wszedł, podniosła łeb i zaskomliła radośnie.

— Malusia!

Wyciągnęła zranioną łapę. Narzymski przykucnął i troskliwie oglądał skaleczenie. Dość głęboko, — pomyślał — i unurzane w błocie. Sam przyniósł wodę, bandaże i jodynę — i troskliwie zajął się zwierzciem.

Anka otworzyła oczy; rozejrzała się wokoło. Ulina nalewała herbatę. Żółty odblask kominka i szum samowara tworzyły zaciszny nastrój.

— A toż panienka potargana!

— Zgubiłam w drodze kapelusz, o mało, że nie zostawiłam walizki, gdyż wysiadłam na innej stacji, a potem w biegu wsiałam. Wiatr mnie tak potargał.

Anka zaczęła poprawiać włosy; czuła znużenie we wszystkich członkach; z trudem podnosiła rękę do góry.

— Pan zajęty; niech panienka sama zje kolację, — rzekła Ulina. Lecz Anka nie mogła nic przełknąć. Nie umiała również opanować znużenia.

— Czy mogłabym się położyć? — spytała.

— A toż już posłałam. Sypialnia tutaj na lewo.

Anka była tak zmęczona, iż nie mogła skupić myśli. Powiedziała Ulinie „dobranoc” i weszła do sypialni. W rogu pokoju, przed obrazem Matki Boskiej paliła się lampka oliwna. Czerwone, nikłe smugi kładły się po ścianach i rozpraszały panujący mrok. Anka usiadła na łóżku i znieruchomiła w półsennej odrętwieniu. Jak długo to trwało, nie zdawała sobie sprawy. Wreszcie ocknęła się. Jednostajny i przenikliwy skrzyp lufcika przyprowadził ją do przytomności. Wstała i podeszła do stolika, aby zapalić świecę. Na dworze po dawnemu hulała wichura. Gwałtowny pęd wiatru wdarł się raptem do wnętrza i zagasił światło. Sięgnęła po zapalki, lecz pudełko stoczyło się na podłogę.

— Co się ze mną dzieje? — pomyślała.

Z za ściany doleciał szmer stłumionej rozmowy. Usłyszawszy wymówione swe imię, poczęła nadśłuchiwać, lecz zdołała rozróżnić tylko ostateczne zdanie:

— Niech Ulina już idzie; chcę się położyć.

Po chwili zamknęły się za nią jedne drzwi, następnie gdzieś w głębi domu trzasnęły głucho drugie. Narzymski nie kładł się jednak. Anka słyszała, jak chodził na palcach w różnych kierunkach pokoju. Czyła się obco i nieswojo. Podniecenie i zdenerwowanie sprawiło, iż zbudził się w niej dawny lęk. Wydało się jej, że coś czai się i idzie groźnie z za ścian. Starła się opanować. Powoli odnalazła zapalki, zapaliła świecę i zaczęła zaplatać włosy.

Witold pomyślał, że dobrze będzie raz jeszcze zobaczyć, jak się czuje Malusia. Wszedł z pokoju na palcach. Ujrawszy go, suka zaskomliła radośnie i oparłszy mu łeb na rękę, wpatrzyła się wiernymi i wdzięcznymi ślepiami. Gdy wracając, natknął się na koszyk świeżych truskawek, zabrał je ze sobą.

— Jaka szkoda, pomyślał, że nie stały na stole; byłaby je napewno chętnie jadła. Usłyszał, że Anka zapala świecę i chodzi po pokoju.

— Więc nie śpi, — uświadomił sobie. Wtem wpadł na pomysł, aby jej podać truskawki.

— Być może, iż czuje się obco w nieznanem otoczeniu. — pomyślał. — Brak pani domu sprawił, iż nie była przyjęta, jak należało; nie jadła nawet kolacji. Jeśli choć przez drzwi usłyszy przyjazny głos, może zaśnie spokojnie.

Z koszykiem w rękę, podszedł do drzwi sypialni. Położywszy rękę na klamce, zawahał się chwilę, następnie cicho zapukał. Anka zniechęciła się. A więc nie myliło ją przeczucie: po drugiej stronie drzwi czaiła się niemiła niespodzianka.

Narzynski nacisnął klamkę i uchylił drzwi.

— Pani pozwoli...

— O mój Boże!...

W głosie czuć było przestach.

— Przepraszam, ja tylko chciałem...

Stała bez ruchu, odwrócona do niego tyłem i wpatrzona w lustro, w którym widać było przeciwległe drzwi. Cofnął się. Koszył pozostał mu w rękę. Stał tak chwilę, sam zaskoczony efektem, jaki wywołał.

— Jutro przeproszę ją i wytłumaczę, — pomyślał.

— Postawił koszyk pod drzwiami i odszedł na palcach. Następnie rozebrał się szybko i położył na przygotowanej sofie.

Anka z trudem tłumiła łzy. Była wzburzona. Podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku, następnie uklękła przed łóżkiem, wtuliła głowę w kołdrę i zaczęła gorzko płakać.

Wewnątrz domu panowała niczem niezmacona cisza. Na dworze szumiały konary drzew, kołysane wiatrem. Podnieconą wyobraźnię Anki uspokajać począł dobroczynny sen. Wraz z łzami spłynęły urojone troski, a ze snem przyszło ukojenie.

Witold Narzynski miał lat dwadzieścia pięć. Rok temu ukończył studia i jako fachowy leśnik przyjechał do domu. W kilka miesięcy potem zmarł Witold Narzynski — senior. Młody zawarł w miłości dla ojca wszystkie uczucia rodzinne, przedwczesna i niespodziana śmierć ojca sprawiła, że spoważniał nad wiek i począł stronić od ludzi. Był małym chłopcem, gdy stracił matkę. Tradycje, jakie zostawiła domowi, czczone były przez wszystkich. Chłopca oddano do szkół. Ojciec zaszył się na wsi. Nie tęsknił ani do ludzi, ani do miasta. Prócz zarządu majątkiem, pisał dzieła z zakresu leśnictwa. Książki interesowały go bardziej, niż polowanie. W tym to okresie odnowiła się i zacieśniła wzajemna przyjaźń z panem Kazimierzem Niesiekierskim, który mieszkał w najbliższem sąsiedztwie. Młody tymczasem rósł na zdrowego i pogodnego chłopca. Uczył się dobrze, lecz książki nie pochłaniały mu zbyt wiele czasu; resztę dzielił na rozrywki wielkiego miasta i — muzykę. To ostatnie zamiłowanie odziedziczył po matce. Dość wczesnie poznał życie. Był przystojny, zamożny, wesoły i dowcipny w towarzystwie, grał przytem nieprzeciętnie na fortepianie; miał więc liczny zastęp znajomych, którzy go chętnie widzieli u siebie. W podobnych warunkach nietrudno było o miłosne przygody. Miał ich też bez liku.

W żadnym jednak wypadku nie zrodziła się myśl o żonie i pragnienie prawdziwego uczucia. Stary Narzymiski często z troską myślał o synu. Kochał swoje lasy wołyńskie i pragnął, aby młody osiadł kiedyś w majątku. W ciągu ostatnich wakacyj zdarzyło się, iż zagadnął go o to.

— Powiedz mi, Witku, czy myślałeś kiedyś nad tem, jak się czuć będziesz, gdy przyjdzie ci osiaść tutaj na wsi, gdzie najbliżsi sąsiedzi oddaleni są od nas o trzydzieści przeszło kilometrów?

— Och, ojcze, — odpowiedział młody wesoło, — będę miał dwóch najbliższych sąsiadów: jeden najkochańszy — to ty, drugi zaś stoi tu obok. Mówiąc to, wskazał na fortepian, podszedł doń uderzył od niechcienia kilka akordów, poczem dodał:

Może się z czasem znajdzie ktoś trzeci...

— Czy masz kogo na myśli? — spytał poważnie ojciec.

— Nie, ojcze. Lubię bardzo śmiech i zabawę. Ile razy jednak pomyślę, że miałbym ci przywieźć do domu na zawsze takie nieporadne, a szczebioczące stworzenie, jakim jest przeciętna panna wielkiego miasta; że ustroiłaby ci twój poważny gabinet mało gustownymi robotkami; że wreszcie zasypywałaby nas bezustannie mnóstwem naiwnych pytań — to brr! — doprawdy, wolę patrzeć na poczciwą Ulinę. Jest szeroka, dobrodusza i traktuje nas obydwuch, jak dzieci, którym trzeba dogadzać!

Ojciec śmiał się długo i serdecznie. Witold otworzył nuty i grał tego wieczoru przez długie godziny w nabożnem niemal skupieniu. Ojciec, zagłębiony w fotelu siedział i słuchał. Spoważniali obadwaj; mimowoli myśli ich i wzrok kierowały się ku tej, która w tym domu kiedyś była panią, a której oczy z portretu zdawały się patrzeć na nich z miłością i błogosławieństwem.

Po śmierci ojca Witold zmienił się do niepoznania: spoważniał, skupił się jakby w sobie i zaczął unikać ludzi. Gdy minął pierwszy najboleśniejszy okres, pokonał w sobie budzącą się chęć do bezczynności i utonął w pracy. W krótkim czasie zapoznał się z gospodarstwem; wszystkiem zarządzał sam bez pomocy administratora, pozostałą ilość czasu poświęcał muzyce i książkom. Zaczęły go interesować rozpoczęte prace ojca. Pragnął je uporządkować i uzupełnić. Czasem nachodziło go przykre uczucie osamotnienia i apatii. Siadał wtedy w głębokim fotelu i stawał przed sobą omszałą butelkę wina. W miarę, jak zmniejszała się jej zawartość, znikała tęsknota i zwątpienie. W takich samotnych godzinach towarzyszyła mu zazwyczaj Malusia. Opierała łeb na kolanach i trwali tak nieraz do późnej nocy.

Na drugi dzień zwykle praca szła gonzej. Zaciskał wtedy zęby i siłą woli muszał się do pokonania bezczynności.

Kazimierz Niesiekierski kochał Witolda, jak syna. Mimo, iż zżyli się od niedawna, pan Kazimierz wszystkie uczucia, jakie miał dla ojca, przelał na syna. Dzięki temu zacieśniła się wzajemna sympatja. Dość duża jednak odległość sprawiała, że widywali się zazwyczaj co parę tygodni.

Ile razy Witold pragnął zasięgnąć fachowej rady, lub zatęsknił za ludźmi, zajeżdżał niespodzianie przed dwór w Konarzycach, gdzie zawsze był serdecznie witany.

Mimo, iż było późno, Narzymski nie mógł zasnąć; myśli jego to-
nęły w różnorodnych wspomnieniach. Uświadomił sobie, iż bratanica
Niesiekierskich gościła w danym momencie w jego domu. Wbrew
woli sprawił, że płakała. Było mu niewypowiedzianie przykro. Przez
szparę w drzwiach widział, że w sypialni pali się jeszcze światło.
Widocznie i Anka jeszcze nie spała. Raptem wydało mu się, że poczuł
dym.

— Złudzenie — pomyślał i utonął dalej w swych myślach.

Dym jednak czuć był coraz wyraźniej. Witold zerwał się z posta-
nia i jednym susem znalazł się przy drzwiach sypialni. Chciał je otwo-
rzyć, lecz przekonał się, iż były zamknięte od wewnątrz. Otworzył
więc drzwi werandy i wybiegł do okna, szarpnął je mocno i za chwilę
był już w pokoju. Wewnątrz mroczno było od dymu. Knot stopionej
przez wiatr świecy zwiślał aż na stół, którego blat tlił się i dymił. Witold
podbiegł do łóżka i tam potknął się o klęczącą na podłodze Ankę.
Chwycił ją na ręce i ostrożnie zaniósł do stołowego pokoju. Następnie
wrócił do sypialni i kilkoma chlusięciami wody zagasził języki ognia,
które czały się ku firance. Następnie nachylił się nad Anką i, jak
umiał najlepiej, usiłował przyprowadzić ją do przytomności. Kiedy
usłyszał, że oddycha, pobiegł obudzić Ulinę.

Słońce już było wysoko, gdy Anka się przebudziła. Głowa ciężła
jej bardzo, a w uszach dokucała nieznośny szum. Doskonale pamię-
tała wczorajsze przygody, nie zdawała sobie tylko sprawy, kiedy zas-
nęła i jakim sposobem znalazła się w stołowym pokoju. Czowała jednak
takie znużenie, iż było jej to na razie zupełnie obojętne.

W pokoju nie było nikogo. Anka wyszła na werandę. W sło-
necznej plamie przed domem leżała Malusia. Na dużym trawniku kwitły
sztamowe róże. Pod drzewkiem leżała moc kolorowych, opadłych płat-
ków. Anka stanęła jak oczarowana. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła
tyle róż rozkwitłych naraz. Widok, jaki roztaczał się przed jej oczyma,
przesłonił wszystkie troski poprzedniego wieczora — i pozostał w pa-
mięci słoneczny i barwny na długie, długie lata.

— A toż panienka już wstała? — spytała, wchodząc, Ulina. —
Taka przygoda! Panisko przez całą noc nalatało się i namartwiło. Całe
szczęście, że panienka zdrowa. A toż dom mógł pójść z dymem. —

Anka szeroko otworzyła oczy.

— Niech-no panienka zobaczy..

Anka weszła do sypialni i rozejrzała się zdumiona. Zczerniały
stolik, oberwana firanka i strugi wody same mówiły za siebie. W progu
leżał przewrócony koszyk truskawek, a podłogę zaściełały podeptane
owoce. Anka, mimo, iż dnia poprzedniego mało jadła, nie mogła przeł-
knąć śniadania. Na przeciw niej, na ścianie wisiał potret starszego
mężczyzny. Siwe włosy dodawały mu powagi, a oczy patrzyły z do-
brobrotliwą łagodnością.

— Jemu to sprawiłam tyle kłopotu i przykrości — pomy-
ślała; — zupełnie nie zdaję sobie sprawy, jak mogłam być tak roz-
targniona.

Wpatrzyła się badawczo: tak, te oczy widziała przed sobą dziś
w nocy, kiedy się zbudziła z ciężkiego, dławiącego snu. Właściwie nie

poznała wczoraj pana Narzymskiego, mimo, iż spędziła z nim tyle godzin pod wspólnym dachem. Łękiem napelniało ją spotkanie, które mogło nastąpić lada chwila.

— Czy pan jest w domu? — spytała Ulina.

— Pojechał na porębę. Już wczoraj przysyłał po niego. Wróci koło południa. Nie kazał panienki budzić.

Anka była wzruszona. Więc nietylko, że jemu spać nie dała, lecz on myślał o tem, żeby jej zapewnić wygodny spoczynek. Jakże spojrzy na niego i co mu powie?

— Konie z Konarzyc już po panienkę przyjechały, — rzekła wchodząc Ulina.

Anka nagle powzięła postanowienie: pojedzie natychmiast i w ten sposób uniknie spotkania. Potem napisze list, przeprosi go i wszystko mu wytłumaczy.

— Muszę już jechać, Ulisiu. Chcę jak najwcześniej zajechać do Konarzyc.

Mimo protestów Uliny, w kwadrans potem Anka, gotowa do drogi, wsiadała do czekającego na nią powozu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zofja Koskowa.

ZE ZJAWISK LITERACKICH.

{Kossak-Szczucka, Séailles, Le Bon, Dougall, Coster, Effenbergerowa}.

Tyle się czyta i pisze w ostatnich czasach o upadku czytelnictwa, o tragicznym niemal losie książki polskiej, nie znajdującej nabywcy. Nie mam tu na myśli, rzecz prosta, sensacyjnych, kryminalnych romanów, czytanych przez publiczność, głodną emocji najniższego i najdostępniejszego gatunku. Mówię o książce wartościowej, czy to z zakresu beletrystyki, poezji, czy też wiedzy spopularyzowanej. Pragnę zawsze w „Zjawiskach” podać Szanownym Czytelnikom, rozproszonym po najdalszych zakątkach Polski, wiadomość o książkach, które będą dla nich dodatnią wartością z najrozmaitszych zakresów myśli ludzkiej, a jednocześnie, jeżeli nie bezpośrednio to pośrednio ułatwią pracę walki z alkoholizmem, bo otwierają oczy na konieczność jej prowadzenia. Z jakiegokolwiek bowiem punktu zaczniemy obserwować życie i człowieka, to zawsze spotkamy się z klęską alkoholizmu, będącą jedną z wielu plag, niszczących współczesność. Zastanawia nas i zasmuca fakt niedostatecznie rozwiniętego czytelnictwa, a jedną z przyczyn jego jest brak należytego zrozumienia przez społeczeństwo, że czytanie jest środkiem samokształcenia i samowychowywania. I dlatego właśnie ogólny poziom, ta atmosfera życia naszego nie podnosi się dostatecznie — kultura nas jeszcze nie przeniknęła i nie przeinaczyła — jeszcze czasem czujemy tchnienie zaściankowych powiewów ciasnoty i obskurantyzmu. Brak nam, precyzyjnego w hierarchji społecznej, a istotnie kulturalnego środowiska, tworzącego opinię i atmosferę naprawdę dostojną, a żywotną. Bez czytania i samodzielnego, krytycznego myślenia naszej inteligencji

zawodowej nie wzniesiemy się na poziom odpowiadający naszym uzdolnieniom. Życie domaga się od inteligencji zawodowej myśli świeżej, chłonnej, chwytniejszej, a serca wrażliwego, szlachetnego. Samokształcenie i samowychowywanie to szlak, którym winni kroczyć niestrudzeni „budowniczości” odrodzonej Polski — fachowcy wszystkich zawodów, brać pracującą w zbożnym trudzie i dla przyszłych pokoleń zasiew nowego życia, rzucająca w głąbę rodzimą. I tu właśnie, na tej drodze, wiodącej do istotnej, rzetelnej naprawy życia, stoi zapora wiekami pilnie hodowana i strzeżona w postaci alkoholizmu, którą musimy obalić, lub sami padniemy. W obecnych czasach demokratyzacji, chodzić nam musi o „jakość” kulturalną i moralną wielkich rzesz, wyzwalających się z niewoli. One muszą mieć przed sobą wzór życia warstw inteligencji zawodowej—one świadomie i nieświadomie naśladują to życie i poziom jego ma kolosalnie ważną wychowawczą rolę. Nic nie pomogą piękne teorie, morały—nie zdziała nic „święte” oburzenie i załamywanie tragiczne rąk nad ujemnymi stronami istnienia, wnoszonym przez świeży element, zbudzony do życia rozpędem własnej woli—tu trzeba przede wszystkim „załamać ręce” nad naszą przeciętną pustką wewnętrzną, toczącą się falą mętną poprzez ugory jałowe dni szarych i martwych. A właśnie ten codzienny alkoholizm, towarzysz chwili wolnych, w których się zatracą i czas, mogący być użyty na cele inne, i wszelkie pierwiastki człowieczeństwa, jest sprzymierzeńcem bezmyślnej pustki, zaraźliwej niesłuchania i deprawującej. Pamiętajmy, że na to, jak żyje i jak się bawi inteligencja, patrzą ci wszyscy, w których my tak wielkie nadzieje pokładamy — patrzy młodzież i lud. Sposobem naszego życia wystawiamy sobie świadectwo, a jednocześnie gasimy lub zapalamy światła, bez których Mrok zapanuje, pokrywając i nas i ich.

Potwierdzenie tych wszystkich smutnych refleksji znalazłem w nowej powieści Kossak-Szczuckiej „Dzień dzisiejszy”¹⁾, będącej „powiastką współczesną” na tle obecnego życia pewnej części naszego ziemiaństwa. Muszę wyznać, że dławiło mię uczucie wstydu, czytając o tej bezmyślnej pustce ludzi przedstawionych przez autorkę. Czem ci ludzie żyją? Co jest treścią ich zainteresowań? Jakież miejsce ogromne zajmują w ich węgietacji karty, oraz owa zupełna bezidejowość. Wielkie nic intelektualne, wszechwładnie panuje, wytwarzając atmosferę wprost nie do zniesienia dla ludzi, obracających się w zagadnieniach ogólnych, które przecie same niejako doniosłością swą, wciskają się w orbitę światopoglądów naszych. Dlaczego Kossak-Szczucka daje nam fotografię ludzi, którzy są **niczem** w organizmie budującego się nowego życia? Chyba chce nam ukazać, czem nam nie wolno być, jeśli chcemy się ostać, w procesie przeobrażeń socjalnych! Jeżeli tak, to jednak w powieści nie znalazłem nawet aluzji co do takiego stanowiska pisarki i dlatego uważam powieść tę za przykre bardzo nieporozumienie.

Gabriel Séailles w swej książce „La Philosophie du Travail”²⁾ ujawnia głębokie zrozumienie klęski alkoholizmu i walkę z nią łączący

¹⁾ Zofja Kossak-Szczucka: „Dzień dzisiejszy”. Kraków. Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej 1931 r.; str. 280.

²⁾ Gabriel Séailles: „La Philosophie du Travail”. Félix Alcan.; str. 408.

z zagadnieniem odrodzenia moralnego Francji. Musimy według niego bezwzględnie walczyć z alkoholizmem, gdyż on podcina zdrowe korzenie bytu narodowego. Poucza nas Séailles, że zasadą pracy ludzkiej, a jednocześnie warunkiem jej powodzenia jest wysiłek moralny, a zadaniem naszym uszlachetnianie samych siebie. Znajdując się stale na pochyłości granicznej między człowieczeństwem, a zwierzęcością, możemy się z niej utrzymać jedynie pod warunkiem wspinania się coraz wyżej i wyżej po szczeblach samodoskonalenia się. Przekonywuje nas dalej, że używający napojów alkoholowych tracą cechy człowieczeństwa, precyzyjność myśli, stają wobec wolności nieprzygotowani do niej, a tem samem pogłębiają jeszcze bardziej niewolę, której mają już dosyć. Od kultury moralnej jednostki zależy istotny i trwały postęp ludzkości, a jedynie wysoki jej poziom stworzy środowisko lepsze, szlachetniejsze. W pracy nad samym sobą naród odnajduje swoje przeznaczenie, w doświadczeniach codziennego mozółu i trudu zdobywa własne oblicze. W sprawie poruszonej przezemnie we wstępie, Séailles również wypowiada analogiczne twierdzenia, że niedocenianie kultury intelektualnej całego społeczeństwa musi się zemścić na jego życiu, które z nieuniknioną konsekwencją zacznie odbywać ruch wsteczny, hamując postęp i negując zdobycze wiedzy najwybitniejszych przedstawicieli ludzkości.

Mamy obecnie dwie bardzo ciekawe książki z zakresu psychologii społecznej, a mianowicie „Psychologia grupy” prof. Dougall'a ¹⁾ i nowe wydanie Le Bona „Psychologia Tłumu” ²⁾, z przedmową Stanisława Grabskiego. Książka ta, chociaż zawiera pewne ostateczne konkluzje, nie podzielane obecnie przez cały szereg nowszych badaczy na polu socjologii, tem nie mniej jest zawsze pracą niesłychanie ciekawą, dającą dużo materiału do rozmyślań, rozszerzającą horyzonty myślowe i pogłębiającą naszą ocenę zjawisk współczesnych. Sądzę, że dla działaczy społecznych ważną byłoby rzeczą utrzymywanie stałego kontaktu z książkami, omawiającemi zjawiska ogólne społeczne ze stanowiska psychologicznego — praca w kręgu zbiorowisk ludzkich zyska na wydajności, skoro sami siebie zasilać będziemy nowemi wiadomościami z tejże dziedziny. Dlatego podaję słuszne słowa Stanisława Grabskiego, który w przedmowie swojej, pomiędzy innemi powiada, że „warstwą, kierującą naszym życiem społeczno-państwowem jest ogół zawodowej inteligencji. Podniesienie na możliwie najwyższy poziom jej wiedzy socjologicznej, jej rozumienia praw ewolucji społecznej, umiejętności jej należytego odróżniania przemijających nastrojów tłumów od trwałych da-

¹⁾ William Mc Dougall, Członek Tow.: Król., Prof.: Psychologii, Harvard University, B. Lektor Uniwersytetu w Oxfordzie: „Psychologia grupy”, zarys zasad psychologii zbiorowej oraz próba zastosowania ich do wyjaśnienia życia i charakteru narodowego. Z drugiego wydania oryginału angielskiego P. T. The Group Mind przełożył i wstępem zaopatrzył Dr.: Józef Chałasiński. Książnica Atlas, Warszawa. 1930; str. 490.

²⁾ Gustaw Le Bon: „Psychologia Tłumu”, autoryzowany przekład z 36 wydania francuskiego Bolesława Kaprockiego, przejrzał i przedmową opatrzył Stanisław Grabski, Lwów. 1930 r. Nakład Księgarni Wydawniczej L. Iglą; str. IX + 186.

zeń ducha rasy i narodu — to warunek konieczny, by Polska wywalczyła sobie należne jej mocarstwowe stanowisko w świecie cywilizowanym". Przestudjowanie książki Le Bon'a dostarczy każdemu ciekawych uogólnień tam, gdzie się samemu zdobyło już pewne obserwacje, i niejednokrotnie rzuci snop światła tam, gdzie sami nie możemy wielu spraw wyjaśnić. Żyjemy w okresie wielkich przeobrażeń—musimy się orjentować wśród zjawisk psychologiczno- społecznych, bo one są motorem życia, tym prąźródłem wszystkiego, co nas otacza, zadziwia, przeraża i zachwyca. Właśnie jednoczesne studjowanie Le Bon'a i Dougall'a jest lekturą niezmiernie pouczającą, bo Dougall reprezentuje odmienny pogląd na rolę życia społecznego w życiu jednostki i na rolę jednostki w życiu społecznym. Czytając te książki możemy przemyśleć zagadnienia narodowościowe, rasowe, socjalne — możemy wypracować pewien zrąb własnego stanowiska wobec powyższych problemów. Chcę również nadmienić, że mamy bardzo ciekawą książkę Geraldine Coster, „Psychanaliza")¹⁾, która była napisana z myślą, aby mogła zastąpić pielęgniarkom podręcznik z zakresu psychologii stosowanej do czytania „w chwilach wolnych". Pielęgniarka społeczna, mająca do spełnienia wielkie zadanie ozdrowiania fizycznego najszerzszych mas, musi ułatwiać sobie pracę umiejętnością wnikania w psychologię otoczenia, gdzie pracuje i przekonania go, że to wszystko, co pragnie zaszczepić nowego, jest istotnie pożyteczne i dobre. Ma ona do czynienia z żywym materiałem,—chcąc skutecznie go przetwarzać, podany szereg praktycznych wiadomości z zakresu psychologii może stać się nieocenioną pomocą. Książeczka ta otworzy oczy na wiele ciekawych zjawisk — poszerzy krąg zainteresowań — nauczy patrzeć uważniej i głębiej, a tem samem przysłuży się i naszej sprawie, którą wówczas niewątpliwie ujrzy w całej jej „życiowej" grozie.

Świeżo opuściła prasę książeczka Effenbergerowej „Kobieta Samotna")²⁾. Jest ona pisana specjalnie dla kobiet samotnych, z myślą niesienia im „nieco sił i ukojenia". Wyróżnia się dodatnio przez rozumne, trzeźwe i realne ujęcie tych wszystkich spraw, w których kobiety, mimo zdobytego równouprawnienia, pozostają jeszcze i nadal zbyt często bezbronnymi niewolnicami własnej egzaltowanej, chorobliwej uczuciowości, nie mającej wszak nic wspólnego z uczuciem. Ten nadmiar wybujałego erotyzmu stoi najczęściej w związku z kompletnym brakiem wszelkich zainteresowań poważniejszych i szerszych. Sądzę, że każda z nas, kobiet, powinna zapoznać się z tą książką, bo wyniesie z niej niejedną trafną uwagę ku własnej... przestrodze.

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.

¹⁾ Geraldine Coster: „Psychanaliza" w zastosowaniu do ludzi normalnych. Przełożyła z oryginału angielskiego za pozwoleniem autorki i wydawcy M. Górską. Nakład „Naszej Księgarni", Warszawa, 1929, str. 153.

²⁾ Nina Okuszkó-Effenbergerowa: „Kobieta samotna", Warszawa, 1931 r. Nakł. Tow. Wyd.: „Polska Zjednoczona".

MORALNE KORKOCIĄGI.

Z wielką uwagą sledziłem w prasie krajowej i zagranicznej przebieg głośniego na cały świat „Düsseldorfskiego procesu”, zakończonogo, jak wiadomo, skazaniem Piotra Kürtena na karę śmierci. Odczytywałem następnie ze skupieniem różne mniej lub więcej przemyślane i pogłębione artykuły, napisane „na marginesie” tego procesu. („Nam tua res agitur, paries cum proximus ardet” — albowiem dotyczy to także i ciebie, i ty jesteś w niebezpieczeństwie, gdy dom sąsiada płonie), lecz najciekawszem w tem wszystkim wydały mi się słowa oskarżonego:

„Społeczeństwo, nagradzające hołdami lekarza (autor „Cjankali”, d-r Wolf) i jego pomocnicę za to, że w półtora tysiąca wypadków splamili swe ręce krwią kielkującego życia, społeczeństwo, w którym rozkład rodziny poczynił zstraszające postępy i w którym popęd za męczyzną przybiera u płci żeńskiej formę ślepego na wszystko rozpasania, nie śmie posyłać na śmierć Piotra Kürtena, zamykając równocześnie oczy na to, że otoczenie, z którego zbrodniarz ten wyszedł, wywarło wpływ decydujący na jego duchowy rozwój”,

jako replika na kategoryczne stwierdzenie nadprokuratora: —

„Jeśli kiedykolwiek zbrodniarz seksualny zasłużył sobie w pełni na karę śmierci, to jest nim Piotr Kürten,

oraz stwierdzony śledztwem i przewodem sądowym

fakt, że główną, jedyną przyczyną wykrycia nieuchwytnego zbrodniarza była chwila litości, okazana przez niego niedoszłej ofierze mordu, wywołana głośną modlitwą tej ofiary w obliczu niechybnej śmierci.

Nad słowami „repliki” Kürtena i nad jego chwilowem „załamaniem się psychicznem”, jako zbrodniarza, które wywołało w nim błysk uczucia litości i stało się przyczyną wykrycia wszystkich stwierdzonych i nawet niestwierdzonych zbrodni tego człowieka, wyjawionych przez niego dobrowolnie, pragnę się dłużej zatrzymać, niejako otworzyć safes jego zwyrodniałej duszy (moralnym wytrychem „metody Ojca Browna” — vide: „Tajemnica Ojca Browna” K. G. Chesterton'a) i wreszcie — na tle tego strasznego procesu i wywołanych nim refleksów uczuć — zapytać śmiało sumienie i rozum społeczeństwa, czy jest i ile przesady w słowach prof. Forela. (Nie wszystkim on, coprawda, podoba się, ale nikt nie zaprzeczy, że cele i dążenia Forela mocno się różnią od celów i dążeń D'Annunzio w jego „Roskoszy”), który w swej popularnej powszechnie znanej pracy, w rozdziale p. t. **Kwestja seksualna w polityce i ekonomji społecznej**, m. in. tak mówi:

„Zwyczaj używania alkoholu szkodzi znacznie więcej aniżeli wojna, głód i zaraza razem wzięte. W tem leży czynnik ekonomiczny pierwszorzędnej wagi, który przeważną część zaślepionych ekonomistów pominęła milczeniem. Wielka ta krótkowzroczność musi opierać

dobrobyt kraju na wytworach przemysłu alkoholycznego. Drogą zatrucia narodu alkoholem utrzymuje się wprawdzie w równowadze budżet państwowy, ale w rzeczywistości poświęca się Molochowi zdrowie i siłę narodu, gdyż nie można dość silnie i stanowczo podkreślić straszne go wpływu alkoholizmu na seksualne i dziedziczne stosunki ludzkości“.

Nie każdy z nas czytał książki Chestertona, łechcące nieraz w mistrzowski sposób naszą egoistyczną i materialistyczną przeczułicę, więc wolę ułatwić sprawę i zacytować tę „metodę Ojca Browna“, którą będę się posługiwał w danym razie, aby choć trochę uchylić rąbka tajemnicy Kürtenowskiej zbrodni, aby na ten pęknięty wrzód społeczny rzucić nowy snop światła, poza wywodami prokuratora i ekspertów, poza wyrokiem sądu i rykiem opinii snobów, trzymających w rękach tylko kamienie potępienia.

Ojciec Brown, mający za sobą niepożyte zasługi w wykrywaniu najzawilszych zbrodni, najstraszniejszych morderców, tak określa swoją metodę: „Doprowadzam siebie do takiego stanu, że istotnie widzę siebie, moje własne Ja, popełniające zbrodnię. Nie zabiłem tych ludzi w znaczeniu fizycznym, ale to nie w tem rzecz. Zwykła cegła lub jakikolwiek mechanizm mógł zabić ich w znaczeniu fizycznym. Ja staram się zrozumieć, co wpłynęło na tego człowieka, że stał się takim i myślę tak długo, dopóki nie stanę się zupełnie do niego podobny we wszystkim, prócz zgody na czyn ostateczny. Jeden z moich przyjaciół zalecił mi takie rozmyślania, jako rodzaj pobożnego ćwiczenia. Pomysł sam zaś był, zdaje się, papieża Leona XIII, który był zawsze dla mnie wzorem“.—I dalej znowu mówi: „Nauka jest wielką rzeczą, jeśli ją można otrzymać. W swym rzeczywistym sensie jest to najwspanialsze słowo na świecie. Ale o czem myśla ludzie dziewięć na dziesięć razy? Kiedy to powiedziano, że śledztwo jest nauką? Kiedy to powiedziano, że kryminologja jest nauką? Patrzą na człowieka z zewnętrznej jego strony i badają niby olbrzymiego owada, co nazywają badaniem w świetle bezstronnem, a co ja nazywam umarłem, wynaturzonym światłem. Przekonani są, że mają jeszcze wiele do zbadania, jakby był conajmniej przedhistorycznym potworem, wpatrują się w jego „występną czaszkę“, jak w coś potwornego, niby róg na nosie nosorożca. Gdy uczeni prawią o typie, nigdy nie mają na myśli siebie, lecz zwykle swego sąsiada i to napewno uboższego sąsiada. Nie przeczę, że takte bezstronne światło może być czasem dobre, chociaż w tym sensie jest zupełnem obaleniem nauki. Dalekie będąc od wiedzy, samo jest przekreśleniem tego, co już jest znane. Jest to traktowanie przyjaciela, jak obcego człowieka i utrzymywanie, że każda zażyłość jest w swej istocie obcą i tajemniczą. To tak, jakby kto powiedział, że człowiek ma jednak trąbę, jak słoń, między oczami, lub że wpada w paroksyzm nieczułości co dwadzieścia cztery godziny. Tak, co wy nazywacie „tajemnicą“, jest właśnie jej przeciwieństwem. Nie oglądam migdy człowieka z zewnętrznej jego strony. Ja staram się wniść w mordercę... Czy pan nie uważa, że to jest o wiele lepsze?... Ja jestem w człowieku... Jestem w człowieku i poruszam jego rękami i nogami. I czekam... Czekam cały czas, dopóki jestem wewnątrz mordercy, myśląc

jego myślami, dręcę się jego namiętnościami, dopóki nie nagnę się do stanowiska jego czujnej, okrutnej nienawiści, dopóki nie zacznę parzyć na świat jego krwawemi, zezowatemi oczyma, które w błędnem zaślepieniu patrzą w wąską, ostrą perspektywę jedynej dla niego drogi, wiodącej do kałuży krwi... Aż do tej chwili jestem mordercą". — „Zaden człowiek nie jest ani trochę dobry, dopóki nie zrozumie, do jakiego stopnia jest zły, albo może nim być; dopóki nie uprzytomni sobie dokładnie, ile jest słuszności w całym tym snobizmie, w tem szyderstwie i rozprawianiu o „kryminalistach” niby o jakich małpach gdzieś w dalekich krajach; dopóki nie wyciśnie ostatniej kropli faryzeuszowskiego oleju; dopóki nie przestanie marzyć o tem, żeby złapać jakiegoś przestępcę i trzymać taki okaz pod własnym kapeluszem”.

Przytoczona metoda wykrywania, rozpoznawania charakteru i stopnia zbrodni, według czcigodnego Ojca Browna, bohatera opowieści jednego z najgłośniejszych współczesnych pisarzy, rozglądającego ludzi i rzeczy przez okulary syntezy, aby „z poza szczegółów zobaczyć obraz całości, z poza drzew urzeć las”, jak o tem marzył filozoficzny umysł Hegla, dopomoże mi niewątpliwie do pewnego wyjaśnienia tych najciekawszych (z mojego punktu widzenia) słów Kürtena, zacytowanych na wstępie artykułu, oraz ułatwi może społeczeństwu przyznanie się do winy w tem przynajmniej, że zbyt długo, zbyt wyniosłe lekceważy ono sobie kwestję alkoholizmu, jako największego zła dla dzisiejszego poziomu cywilizacji, materializującej niemal doszczętnie duszę ludzką, wprowadzającej „**Djabła w życie i politykę Europy**”, jak pod tym tytułem kreśli baltazarowe przestrogi Niemcom i innym narodom świata ogniste pióro Fryderyka Muckermanna T. J., znakomitego publicysty niemieckiego.

Naprawdę, nie będzie od rzeczy, jeśli, mówiąc o zbrodni Kürtena i badając syntetycznie jej moralne podłoże, osmielę się także zwrócić uwagę na wysoki lot dzisiejszego człowieka (mam tu na względzie postępy techniki, zdumiewające wynalazki) i na te „korkociągi” (mam tu na względzie duszną moralną atmosferę świata), w jakie on trafić musi, jeśli nie nastąpi wśród ludzi rychłe otrzeźwienie myśli i uczuć, jeśli człowiek przestanie szczerze dążyć do zwycięstwa dobra nad złem, które w ostatnim czasie poczynamy już sobie jakgdyby nawet idealizować...

A więc, jak mamy zrozumieć słowa Kürtena, jakie ten cywilizowany, bezspornie inteligentny zbrodniarz rzuca społeczeństwu, które go przecież wydało z siebie, z którym on był arterjalnie związany prawem gatunku i duchowego rozwoju?

Dlaczego obudziła się w tem kamiennem sercu ludzkiego potwora iskra litości podczas głośnej modlitwy niedoszłej ofiary mordu, klęczącej w obliczu niechybnej śmierci?

Kto zechce dać sobie sumienną odpowiedź na te dwa zapytania, nie mówiąc w duchu: „Dobrze, że to nie ja...”, lecz: „Wyobraźmy sobie, że to ja...”, tego odpowiedź będzie może cenniejszą dla sprawy, jako swego rodzaju procedensu, niż znany ludziom ze swej sprawiedliwości „sąd Salomona” nad dwoma matkami, spierającemi się o prawo do swego rodzzonego dziecka; ten potrafi zapewno dać także ludziom

szczerą odpowiedź na zapytanie, dlaczego to godło „sierpa i młota” mogło porwać za sobą tłumy, które niewiadomo dokąd może zaprowadzić...; ten będzie miał odwagę powiedzieć, dlaczego dzisiejsza cywilizacja jest matką tysiąca Kürtenów rozsianych po całym świecie, zacierających z genialnym sprytem (bez uczucia litości) swe zbrodnie moralne i zajmujących nieraz w życiu narodów najwybitniejsze stanowiska we wszystkich bez wyjątku warstwach społeczeństwa; ten może powie nam, dlaczego są jeszcze wojny na świecie i dlaczego to „te tylko narody odnoszą największe zwycięstwa, z którymi nikt nie śmie wojować”, jak twierdził filozof chiński Laotse; ten potrafi nas łatwo przekonać, że natura ludzka ma takie same prawa i skłonności do złego, jak i do dobrego, a więc od nas tylko zależy osiągnięcie zwycięstwa dobra nad złem, lub odwrotnie; ten może zechce rozwiązać nareszcie ludziom kwadraturę koła zasady ich moralności (ale nie tak, jak ją rozwiązał Schopenhauer w swej konkursowej rozprawie p. t. „O zasadę moralności”) i tem samem udowodni, że jest na świecie większa siła moralna, lepsza i skuteczniejsza broń we współżyciu jednostek i narodów, niż ta, która się ukrywa w surowem: „Nie zabijaj!” i sentymentalnem: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego”; — ten może da nam odpowiedź na dręczące pytanie, gdzie się zaczyna obłąkanie, a gdzie genjusz ludzki. (Zapytanie to powstało w moim biednym mózgu w szczególności pod wrażeniem feljetonu p. t. „Podróż do Indyj”. Mahatma Ganhdi. Allahabad, w kwietniu r. b. Vide „Il. Kur. Codz.”, utalentowanego autora powieści „Przez płonący Wschód”, w którym to feljetonie autor barwnie opisuje swój udział w meetingu, na którym przemawiał Gandhi, przyczem w bogatym mózgu tyle widzącego, tyle podróżującego powieściopisarza wytwarza się pojęcie o tym największym dziś człowieku Indyj, jako o typie skończonego warjata (Dostłownie tak pisze: „Proste, wulgarnie słowo: warjata! — przebiega mi przez mózg”), poczem w rozczarowaniu zupełnem wraca z meetingu i wychyla w bufecie **whisky and soda** (po naszymu: „dwa większe z kropelkami”). Przypomniałem też sobie pod wrażeniem tego feljetonu przejmujący grozą obraz sławnego Wiereszczagina, przedstawiający hindusów, praojców tych, którzy byli na wspomnianym meetingu i którzy tak łatwowiernie słuchają swego wielkiego warjata, przywiązanych do paszcz armat angielskich... Hm!... A może młody mistrz pióra, jako głęboki obserwator duszy wyzwających się Indyj, sądzi, że ten dziwny naród nie da sobie rady z „ustrojem dominjalnym”, do którego to ustroju doprowadza właśnie idea tego wielkiego warjata, której on służył wytrwale i „z bezczelnością” (effrontément), według silnego wyrażenia Veuillota? A może młodemu mistrzowi pióra nie podobało się, że wśród warunków tego wielkiego warjata, jakie on, zaraz po swem uwolnieniu z więzienia, postawił ustępującemu wicekrólowi lordowi Irwinowi, jest także **warunek całkowitego zakazu sprzedaży alkoholu**, co zresztą potwierdził w marcu r. b. hinduski kongres narodowy w Karachi? Mnie się, **naprzykład, zdaje, że ten Gandhi, to zupełnie rozsądny człowiek, pomimo, że prawie za naczelne zadanie w dążeniu do wyzwolenia swego narodu postawił walkę z alkoholizmem.** Zatrzymałem się dłużej nad tem pytaniem, gdyż chodzi mi o wyjaśnienie,

czy Gandhi jest genjusz, czy warjat? (w czystym stylu hinduskim, bo przecież w wolnych chwilach przędzie!) — Jeśli bowiem tylko warjaci walczą tak „effrontément” z alkoholizmem, a ludzie zupełnie zrównoważeni umysłowo i przytem często bardzo wykształceni trzymają się na uboczu, otaczając siebie specyficznem „splendid isolation” (wspaniałem odosobnieniem), to pocóż w takim razie kompromitować się w oczach ludzkich i w szczególności w oczach przyszłego pokolenia? Shocking!); ten nam zapewne stwierdzi raz jeszcze, że nawet stuprocentowe wykorzystanie mózgu ludzkiego, tego największego z cudów natury, nie rozwiąże bez pomocy poezji i filozofji religiji zagadki naszego bytu na ziemi, bo tego nigdy żaden człowiek rozwiązać nie potrafi, niezależnie od tego, czy będzie służył tylko pojęciu, dobra, czy tylko zła, czy będzie w głębi swej jaźni wierzącym czy też bezwyznaniowcem, t. j. z t. zw. „próżnią Torricellego” w sercu. — **A ponieważ na te dwa skromne zapytania nikt nie potrafi dać nam sprawdzalnej, nietranscendentalnej odpowiedzi, lecz tylko może nas najwyżej pocieszyć wyłuszczeniem „teorii względności”, uzasadnieniem „teorii prawdopodobieństwa”, mocno efektownych sukcesów „analogii porównawczej” i t. p., i t. p., więc w tej zawilej kwestji, czy Kürten miał prawo rzucić swemu społeczeństwu do podjęcia tę straszną rękawicę i czy obudzone w nim uczucie litości należy rozumieć jako akt dobrej woli, dostępny, jak widzimy, nawet dla serca tego zmodyfikowanego „Kuby rozpruwacza”, czy też raczej zaliczyć to jego uczucie do konsekwencji patologicznych emocji, — trzeba zabierać głos bardzo ostrożnie, bez jakiegobądź tupetu, powodując się więcej głosem własnego sumienia, niż dystylowanego rozumu i jego kapryśnych nieraz założeń, opartych bądź to na „kodeksie Justinjana” (w razie potrzeby, naturalnie, bo przecież cywilizacja dzisiejsza jest tego zdania, że to ona właśnie powinna służyć materializmowi, a nie odwrotnie), bądź choćby na ususach prawnych murzynów z nad jeziora Czad, lub też na jakimkolwiek innem prawodawstwie ludzkim, uzależnionem przeważnie od etnograficznych i geograficznych warunków bytu człowieka i wogóle stopnia jego kultury.**

Dna duszy ludzkiej nikt nie zbadał i nie zbada w całości, choćby posiadał t. zw. „szósty zmysł”, a wysiłki najgenjalniejszych psychjatrów podobne są raczej nieraz w swym szlachetnym porywie naukowym do wysiłków tych, którzy radziby nawet zrywać kwiaty paproci, byleby eudemonologję mógł zrozumieć głodny brzuch... To też najgłębsze umysły, dręczone wątpliwościami w sprawie aktów zbrodni Kürtena i jej prawdziwego podłoża, stanęły ponownie przed owem „rozbitem korytem nauki” i mogą powtórzyć sobie za Faustem (jeśli nie chcą wpaść w błąd zarozumiałości): „I cóż my wiemy? — Nic! Nic! O, katusze, myśl ta spali moją duszę!” — W jednym tylko psychjatrja i eugenika zdołały przekroczyć demarkacyjną linię przyrody — stwierdziły istnienie atawizmu i doszły do tego nie drogą ryzykownych hipotez, lecz sumiennem posługiwaniem się osiągniętymi wiadomościami biologicznymi, żmudną pracą naukowych eksperymentów. Dziś wierzą w prawo dziedziczności nie tylko uczony weterynarz, lecz i genjalny chirurg i najlepszy diagnosta chorób ludzkich,

lecz nie wierzą w to prawo ci wykształceni ludzie, którzy wogóle nie wierzą w „prawo sumienia” w tych wszystkich sprawach, które ich bezpośrednio nie dotyczą w danym momencie i dlatego właśnie skłoni są nawet to „prawo sumienia” w życiu ludzkim i w ustroju społecznym lekceważyć, do czego ich usposabia lub zmusza nieraz opinia społeczna, to skłonna do inkwizytorskich metod działania w sprawach wewnętrznych przekonań, to znówu pobłażliwa do granic niemal dziecinnej naiwności, bo przecież „Mundus vult decipi, ergo decipiatur” — świat chce być oszukiwanym, więc go oszukujemy. — Oczywiście że, mówiąc o wykształconych ludziach, nie wierzących w atawizm, czyli nieubłagane prawo dziedziczenia cielesnych i duchowych przymiotów w dalszych pokoleniach, mam w tym momencie na względzie głównie niezmiernie ciężkie położenie prokuratorów współczesnej Temidy, często podobnych raczej do katów, którym trzeba jednocześnie sądzić człowieka (nie widząc dna jego duszy) i w ślad za tem wykonywać wyrok na delikwencie. — Czyż historia nie poucza nas, jak straszne pomyłki mają miejsce nieraz w wyrokach sądowych, kiedy chodzi o ujawnienie istotnej przyczyny przestępstwa? Czyż t. zw. „**Pitawał współczesności**”, nie mówi nam jasno, że szczyt zbrodniczości ludzkiej ma się nieraz tak do poziomu naszego pojęcia o moralności, jak się ma, dajmy na to, drapieżność wilka do łagodności i bezbronności baranka, przyczem nie należy zapominać, że wilk w swej zwierzęcej sprawiedliwości jest daleko sumienniejszy wobec baranka (wilka tylko głód robi wilkiem), niż tem mógłby się poszczycić człowiek wobec człowieka, jako najdoskonalszego tworu ziemskiego, posiadającego to, co zwykliśmy zwać „sumieniem”, jeśli wypada nam być w roli pokrzywdzonego, lecz nie krzywdziciela(bo wtedy maginamy „sumienie” nasze w stronę postulatu materialistycznego). — Wydaje mi się chwilami, że największym błędem współczesnego człowieka jest jego rozumowanie, pozwalające mu w karygodny sposób identyfikować pojęcie o cywilizacji z pojęciem o moralności, aby tem łatwiej oszukać jeśli nie własne, to cudze sumienie (Ba! często nawet całych narodów).

Przy takim nastawieniu moralnem, jakie ma dzisiejsza cywilizacja, wężąca w grucie rzeczy tylko zdobycie maximum dóbr materialnych dla człowieka i składająca ofiary tylko złotemu cielcowi, — bez uwzględnienia konieczności jednoczesnego kształcenia, cywilizowania ducha ludzkiego, aby tem samem dostosować niejako naturę ludzką do wymagań czasu,—nie może być mowy o współmiernym, możliwie sprawiedliwym podziale między ludźmi dóbr ziemskich i duchowych, do czego przecież wszyscy mają jednakowe prawo, jak je mają do życia, do śmierci. — Materializm, olśniony swem dotychczasowem, zawrotnem zwycięstwem, wyzyskuje całą dzisiejszą cywilizację na niekorzyść duchowego rozwoju człowieka, ciemniży go i budzi w jego naturze, której przecież żadna cywilizacja przerobić nie zdoła, mniej lub więcej straszne indywidualne i zbiorowe protesty, znajdujące swych wyrazi-cieli w ideologach komunizmu i tysiącach zamaskowanych Kürtenów we wszystkich klasach społecznych i zawodach, dokąd tylko sięga trucizna duszy w tej lub innej postaci.

Świat zatruł się materjalizmem i swoją pozłożoną miotłą wymiata z życia ludzkiego, zamiast moralnego guano, nie tylko najszczytniejsze ideały, które ludzkość wypiastowała sobie, pozbywając się skorupy barbarzyństwa, lecz nawet i idee, bez których człowiek w żaden sposób nie potrafi wypełnić powstającej w nim próżni psychicznej. — Słusznie też woła, zwracając się wyłącznie do t. zw. „klas posiadających”, (wiemy przecież dobrze, kto do tych klas należy) przytoczony przeze mnie na wstępie sangwiniczny publicysta niemiecki: „Nie mają oni już pojęcia, jak powinni rozumieć ludzi, którzy wciąż jeszcze mają coś w rodzaju idei, choćby to była idea sataniczna, choćby była nienawiścią, choćby była lucyferowym protestem przeciw Bogu, choćby nawet była ideą piekielną”. — „Jest to myśl nawet wtedy, gdy już nawet pojęcia nie macie, co to jest wogóle myśl! Jak tu nie przemawiać ognistym językiem, gdy się czuje, że groza, okropniejsza od wszystkiego, co ludzkość kiedykolwiek przeżyła, ciągnie nad Europę! Czyż niema nikogo, co ma oczy, aby ją widzieć?” — „Bóg świadkiem, że stokroć ma się wrażenie, iż chrześcijaństwo zhumanizowało się bez ratunku, że chrześcijaństwo to również nie wierzy już w diabła, oczywiście chrześcijaństwo problematyczne, bo — jak można wierzyć w Boga, jeśli nie zna się już diabła! Cóż musi nadejść, już z tego chociażby wprost, że poważna część naszej inteligencji marzy o bolszewizmie? O, wy, inteligenci, poszlubiście do robotników do szkoły! Choćby to byli „marksści” w związkach zawodowych, mają oni przynajmniej ekonomicznie wyszkolone oko i zdają sobie sprawę, co wam grozi. Przefykają oni pancerniki i zakazy filmu Remarque'a, gdyż wyczuwają, że chodzi o coś wyższego i większego. Ale wy, coż wy wiecie z ekonomji? I coż wy wiecie po dziesiątkach lat pracy w liberalizmie o Bogu i djabie? A to właśnie dziś trzeba wiedzieć! Nic więcej”. — „Dzwony brzmią, jak dawniej. Wierni śpiewają swe nabożne pieśni. Biskupi błogostawiają, a kapłani rozgrzeszają ludzi. W państwie dawnym trybem idzie walka partyj — wciąż dokoła żłobu. Tu protekcja, tam korupcja. „Sprawiedliwość skrępowana?” To można zdementować! Ale co to wszystko jest wobec tego, co czyni atmosferę tak parną! Czyż niema nikogo, coby widział, coby słyszał?”

W takich to warunkach, w takiej to atmosferze moralnego czadu, wyczonego świetnem piórem publicysty z pod znaków i szarzy Chrystusowej, odbył się niedawno ów proces Kürtena, przerażający grozą omawianych zbrodni, demonstrowaniem przedziurawionych, rozłupanych czaszek ludzkich, jako niezbędnych (sic!) „dowodów rzeczowych” morderstw, dokonanych na tle idjokinetycznego działania alkoholu.

Sędziowie, prokuratorowie, obrona, obecna na sali publiczność i wreszcie świat cały, zasugerowany grozą zbrodni, ma wrażenie że najlepszym piorunochronem moralnym będzie tylko skazanie Kürtena na karę śmierci i nieanalizowanie dalsze brudnej duszy zbrodniarza, a tembardziej jego ostatnich słów przed ogłoszeniem wyroku. Dość tej ohydy! Precz ze zbrodnią! Przeszedł przez ludzi dreszczyk moralnych emocji, sumienie ludzkie umyło ręce, jak Piłat, — i koniec! Materjalizm nie pozwala na dłuższe zastanawianie się nad tą sprawą,

nie ma czasu na żadne kontemplacje. Trzeba śpieszyć!... Motory warczą, silniki działają sprawnie, przelatujemy w powietrzu oceany, za naciśnięciem małego punkciku w precyzyjnym aparacie technicznym w Europie zapalamy w jednej chwili lampy elektryczne w Sydney'u, możemy już nawet nieść na falach radiowych słowa Ewangelji do najdalszych, nieucywilizowanych narodów, ludzkość leci coraz wyżej i wyżej... per pecunia ad astra! Excelsior!

I w tym nienormalnym pośpiechu, jakiego wymaga od ludzi materializm, w tym braku czasu na strawę moralną, duchową, jaki on wywołuje, ludzie nie mogą, nie chcą zdobywać się na „małe ofiary, które są czasem najbardziej męczące i unicestwiające”, lecz nieraz stokroć cenniejsze w znaczeniu moralnem (i może każdym innym także) „nad wielkie, nadzwyczajne wysiłki, do których wnosimy się potężnymi wzloty, lecz skąd spadamy w upadku głębokim”, jak mówi Bossuet, ten przedziwny znawca i kierownik sumienia. — Jeśli więc zechcemy nie bez podstawy porównać lot dzisiejszej cywilizacji do lotu najdoskonalszych aparatów lotniczych, w których jednakże silniki i śmigła muszą być z najlepszego materiału moralnego, bo inaczej zawsze nam będzie grozić katastrofa, tem straszniejsza, im wyżej nas wzniesie materializm, przyczem nie uratują nas wtedy żadne prawnicze wywody i spadochrony, jak to wyraźnie widzimy w procesie Düsseldorfskim; jeśli nie zdamy sobie jasno sprawy, że bez „małych ofiar, które są czasem bardziej męczące i unicestwiające”, nie zdołamy opłonić dzisiejszej ciężkiej gospodarczej i moralnej sytuacji na świecie. Nie uratują nas te nasze „wielkie, nadzwyczajne wysiłki (w zakresie altruizmu), do których wnosimy się potężnymi wzloty (dla oka ludzkiego, lecz nie dla sumienia) i skąd spadamy w upadku głębokim (w oczach sumienia ludzkiego), gdyż „Jałmużny, przytulki i szpitale nie stanowią odszkodowania za gwałt i niesprawiedliwość. Filantropja topi sprawiedliwość w ogniu łaski”, jak pisze Pestalozzi); jeśli powtarzam, nie zechcemy zwolnić tempa, jeśli się nie obliczymy z koniecznością załatwienia najpilniejszych spraw moralnych w najkrótszym czasie, który z nieubłaganą logiką rzeczy pracuje na naszą niekorzyść, choć przecież „Rzecz niesłychana, co można zrobić z czasem, gdy się ma cierpliwość czekania i nieśpieszenia”, jak mówi Lacordaire, obalając fałszywą teorię materializmu, usiłującą cały nasz czas pochłoniąć w wariackim wprost tempie gromadzenia złota i tworzenia najdoskonalszych uzbrojeń na wypadek wojny, wprost wiszącej w powietrzu, — to nic dziwnego, że wzloty współczesnej cywilizacji muszą trafiać w okropne moralne korkociągi, z których nie uratuje nas materializm, w których spłoną przedewszystkiem nasze „Zeppelin” wraz z pilotami, obserwatorami i wybranymi pasażerami... Nie pomogą nam żadne race najnowszych wynalazków; nie pomogą najszlachetniejsze kruszce ziemi i najcenniejsze kamienie, bo jest w nich przeważnie tylko symbol pracy i potu ludzkiego, łez i krwi, a nie skondensowana moralność-sumienie, ukryte jedynie w zasadzie miłości bliźniego.

Jak lotnik musi być trzeźwym w czasie lotu, aby niejako wyczuć złe działanie silnika, tak samo ludzkość w swym cywilizacyjnym locie musi być trzeźwą pod każdym względem, aby móc wyczuć, zauważyć

złe działanie silnika swej moralności. — Kürtem przecież też latał w swem moralnem życiu, jak i my wszyscy, a choć był trzeźwy w chwili lotu (czytaj: w chwili mordowania swych ofiar), to jego silnik moralny był zatruty już w embrijonalnym swym stanie, przeżarty rdzą alkoholizmu ojca, co bezspornie stwierdził przewód sądowy i co stało się główną przyczyną wpadnięcia tego człowieka w korkociąg strasznych morderstw, bluzgających bielą mózgu i purpurą krwi ludzkiej. — Idjokinetyczne działanie alkoholu, czyli dziedziczne obarczenie, wystąpiło tu w jaskrawej formie, otwierając oczy ślepym i głuchym na niebezpieczeństwo, w jakim grzęźnie ludzkość, bądź to używając alkoholu dla celów złe zrozumianego, fałszywego epikureizmu, bądź to zalewając nim robaka tych wszystkich, dla których jedyną namiastką duchowego pokarmu jest dziś tylko alkohol — synonim haszyszu pracowanych rzesz, tęskniących do lepszej doli, lecz stwierdzających dookoła siebie tylko najpotworniejsze formy walki o byt, połączone z niemilosiernem wyzyskiwaniem słabszych przez silniejszych, wreszcie oglądających perspektywę mordu powszechnego w postaci wojen, jako rzekomo jedyne go sposobu kojenia ran duszy ludzkiej, wyładowania nagromadzonych uczuć zemsty i nienawiści, zrodzonych okrutną niesprawiedliwością materializmu.

Jeśli Kürtem, jako ujawniony zbrodniarz, wydał się potwornym w swych mordach, to jakąż grozę niosą ludzkości tysiące takich Kürtenów, zrodzonych w oparach alkoholu i działających już w niewidzialny, niedostrzegalny sposób na zgubę cywilizacji i jej całego dorobku, okrytego złotą pajęczyną materializmu, którą to pajęczynę zdmuchnąć może rozpętany żywioł zła, jak zdmuchnął niesprawiedliwą moc carów rosyjskich, jak zdmuchuje innych królów z ich tronów, jak nawet w swem rozpasaniu dławi w duszach ludzkich to, bez czego nie sposób żyć na świecie — miłość bliźniego, bo człowiek przestał w nią wierzyć, bo wiarę w nią wyrwał mu materializm!

Nie wolno zapominać, że obarczenie alkoholowe znajduje swój wyraz w najrozmaitszych formach zbroczeń ludzkich, nie tylko seksualnych, jak u Kürtena. Tacy zbrodniecy zajmują często najwybitniejsze stanowiska, jeśli sami nie wpadają w alkoholizm, spowodowany chorobą woli, i stają się nieraz najniebezpieczniejszymi wywrotowcami ustroju społecznego, wnoszą anarchizm do myśli i serca ludzkiego, nawołują do walki i mordu w imię porywających, lecz nieiszczalnych w praktycznem życiu postulatów ekonomicznych i socjologicznych. — Tacy ludzie są straszni, tem straszniejsi może, że pozornie pełni zdrowego rozsądku, choć są to w gruncie rzeczy manjacy, paranoicy, dążący często do wytkniętego celu nie przez wszczepianie tłumom tych lub innych pojęć, jak to np. czyni Gandhi, opierający swój genjusz tylko na uświadamianiu współziomków i na długotrwałej cierpliwości, lecz po trupach, przez morze łez i krwi. — Historia starożytna, wieków średnich i najnowsza zna klasyczne przykłady tego rodzaju zbroczeń, powstałych na tle obarczenia alkoholizmem, spotęgowanego częstokroć odziedziczonym lub nabytem działaniem kiły, nadającem często ludziom żądzę niepowszednich czynów, manję wielkości we wszystkich ich występach, zależnie od socjalnej pozycji, rozwoju intelektu i większej lub mniejszej indywidualności danego osobnika. —

Nie trzeba być uczonym psychjatrą, kryminologiem, aby zdać sobie sprawę, że w Düsseldorfskim procesie mamy do czynienia z człowiekiem, któremu stanowczo brak jakiejs „klepki”, jakby to powiedział nasz kochany mazur, ale nie wolno nikomu zapominać, że tę tajemniczą „klepkę” wyrwał Kürtenowi alkoholizm jego ojca, że to właśnie dziedziczne obarczenie pozbawiło go godności ludzkiej, czyniło zeń bestję z przytłumionym instynktem gatunkowej przynależności. **Człowiek, który** potrafi mówić z zimną krwią o najdrobniejszych szczegółach dokonanych zbrodni; człowiek, który z prawdziwą inteligencją ośmiela się uczynić zarzut społeczeństwu, że go źle wychowało od dzieciństwa, wskutek czego morduje niewinne ofiary, lecz nie walczy z tem swoim społeczeństwem w miarę sił i możliwości, jakby to niezawodnie uczynił ideowiec w służbie złej, czy dobrej idei, lecz nie chorobliwej manji; człowiek, który od dzieciństwa zżył się z ideologią hycła i wyszedł z dna nędzy rodziny alkoholika, w której ojciec na oczach dziesięcioletniego syna dokonuje kazirodczych aktów z jego starszą siostrą, a własną córką; człowiek, na którym ojciec rwie ubranko, podarowane przez zacnego księdza przed udzieleniem mu pierwszej komunji; człowiek, który mordował swe ofiary nie w celu rabunkowym, lecz tylko w związku ze swym zwyrodniałym instynktem seksualnym; człowiek, który nie potrzebował odurzać się alkoholem, aby dokonywać zbrodni w specjalnym afekcie, lecz popełniał je z wyrafinowaniem przytomnego umysłu (według ogólnoludzkiego pojęcia); człowiek, który okazuje litość niedoszłej ofierze mordu, dlatego tylko, że ta się głośno modli w obliczu śmierci, i tem samem jakgdyby załamuje dotychczasową konsekwencję swoich czynów patologicznych, bo przecież uczucie prawdziwej litości, dostępne największym nawet zbrodniarzom, nie może tu wchodzić w rachubę, jako akt „przesunięcia się ośrodka energii osobistej”, czyli nawrócenia, czego stwierdzić nikt nie jest w możności, gdyż pewno i delikwent nie wytłumaczyłby sobie tego w sposób normalny, dostosowany do „jego psychiki”, **powinien i musi uchoǳić w oczach społeczeństwa za zbrodniarza, lecz nigdy za normalnego zbrodniarza.**

Niechże społeczeństwo nie zapomina, że ów „Düsseldorfski upiór” jest dla niego jednym z największych ostrzeżeń, jak straszną groźbę dla przyszłych pokoleń ukrywa alkoholizm ich rodziców!

Do kwestji alkoholizmu, jak wykazuje nam doświadczenie, co stwierdzają najwybitniejsi uczeni i wielcy znawcy przedmiotu, nie wystarczy podchodzić tylko z naukowej strony, lub tylko ze strony zbożnego dyletantyzmu, lecz trzeba ją traktować jako zagadnienie moralne największej wagi, uwikłane w kompleksie całego szeregu socjologicznych i etycznych wymagań życia ludzkiego, i trzeba ideę szerzenia trzeźwości niejako wszczepiać w sumienie, w instynkt samozachowawczy, rzekłbym w egoizm ludzki, który się powinien przestraszyć zgubnych skutków lekkomyślności, z jaką dotychczas walczyliśmy z tem złem.

Przyznajmy się lepiej wielcy i mali, że jesteśmy wprost nieszczerzy w walce z alkoholizmem, tym najstraszniejszym rakiem duszy ludzkiej, boć wszyscy się z tem zgadzamy, że alkoholizm czyni coraz więk-

sze spustoszenia i na szczytach społeczeństwa i wśród parjasów. Nikt dzisiaj o tem nie wątpi i nawet ci, którzy byli zmuszeni (sic!) patrzeć na wzrost koncesji alkoholowych, jako na budżetowe malum necessarium, **nawołują oficjalnie do jak najszerzego uświadamiania społeczeństwa o szkodliwości dla zdrowia ludzkiego używania alkoholu.** — Ale — na Boga! — jakże na tle rzeczywistości wygląda to uświadamianie a gdzie są potrzebne środki materialne, jeśli chodzi o walkę z alkoholizmem w drodze profilaktyki społecznej? Garsć wybitnych uczonych i nieliczna grupa ludzi dobrej woli, wyczuwających grozę, nawisłą nad społeczeństwem, skazana jest na syzyfowe wysiłki, a nawet ci, którym się udało cudem wrócić „z tamtego świata” — wyrwać ze szponów alkoholizmu, aby resztę godzin swego życia oddać na najskuteczniejsze chyba uświadamianie, bo uświadamianie „żywym przykładem”, muszą borykać się z nędzą, polukrowaną czasem tylko przyzwoitym wyglądem, i walczyć ze straszmem zwątpieniem, że ich ratownicza akcja traktowana jest przez powołane czynniki raczej jako akt szkody dla państwa, niż prawdziwego pożytku, i zasługuje w ostateczności na platoniczne, lecz nie materialne poparcie, niezbędne przecież nawet w służbie idei Boga! — Trzeba precz pędzić poszukiwaczy przygód, oblepiających każdą czystą ideę tylko dla celów materialnych, lecz nie wolno patrzeć obojętnie na powolne konanie najszczerzych apostołów, pozabawionych wszelkiego chorobliwego fanatyzmu, których jedynym celem jest dobro bliźniego, co stwierdzają słowem i czynem. — Powiedziałbym więcej (według „metody Ojca Browna”): nawet дума narodowa nie powinna pozwolić na to, aby ginęły w bezradnem szamotaniu się, bez odpowiedniej pomocy materialnej, ludzie czystej idei i czystego, jak kryształ, sumienia. Zaden naród nie ma prawa kamienować obojętnością, lekceważeniem i wyniosłem „Totschweigen” swoich prawdziwych proroków, dających szczerze i uczciwie do dobra bliźniego.

Ale bądźmy sprawiedliwi w swych gorzkich wyrzutach! Jeśli nasze społeczeństwo nie jest lepsze od innych, to nie jest i gorsze, bo cały świat jest podminowany nieszczerością i obludą w rozwiązywaniu kwestji moralnych, zazębiających, jak zawsze, o kwestje materialne. Taka już jest natura ludzka, że nie uznaje bez przymusu żadnego poświęcenia, ofiarności lub często nawet tylko kompromisu. Dlatego to wciąż wisi nad ludzkością groźba nowej wojny, a roczne wydatki wszystkich państw świata na zbrojenia wynoszą teraz około 5 miliardów dolarów, co stanowi sumę o 70 procent większą, niż przed minioną niedawno wojną światową, jak to stwierdził prezydent Hoover w swem przemówieniu w Waszyngtonie na wielkim kongresie 1000 delegatów z 80 państw. **Materalizm nie uznaje moralnych postulatów..** To też słusznie mówi Edison: „Przyjdzie dzień, kiedy nauka wynajdzie maszynę o tak strasznej sile i tak strasznych możliwościach, że przerażony tem człowiek zrezygnuje na zawsze z wojny”.

Obyż ten dzień przyszedł jak najprędzej, ale zanim to nastąpi, apostołowie idei trzeźwości muszą jak najenergiczniej walczyć z alkoholizmem — tym najgroźniejszym wrogiem umoralnienia człowieka, a więc niewątpliwie także podżegaczem i propagatorem wojen.

Im prędzej narody zmuszą swe rządy do zajęcia zupełnie szczerego stanowiska w walce z alkoholizmem **n a j w ł a ś c i w s z e m i** metodami, tem mniej będzie na świecie „Düsseldorfskich procesów“, tem wyżej będzie się wznosić duch człowieka i nie straszne mu będą wówczas te moralne korkociągi, w które jeszcze nieraz będzie musiał trafiać, zanim czystość sumienia naszego w podziale dóbr doczesnych nie zrówna swego lotu z zazdrosnem pięknem i pewnością lotu ptaka, symbolizującego lot myśli i serca ludzkiego.

Medytacje te napisałem pod wrażeniem ciekawej dla mnie „metody Ojca Browna“. Jeśli wyluszczone tu myśli i uczucia nie trafią do celu, to znaczy „metoda Ojca Browna“ jest fałszywa i potrafi ludzi w błąd wprowadzać.

Jan Reytan.



ABSTYNENCKA LIGA KOLEJOWCÓW



Za parę tygodni przybędą do Polski delegaci 16-tu państw europejskich na Międzynarodowy Kongres Kolejowców Abstynentów.

Na przewodniczącego Głównego Komitetu przyjęcia Międzynarodowego Kongresu K. A., Pan Minister Komunikacji powołał P. Mgra **Józefa Siekierskiego**, wicedyrektora D.O.K.P. w Warszawie.

Do Głównego Komitetu Przyjęcia M.K.K.A., zaprosił p. Prezes Siekierski następujące osoby: Inż. Michała Budkiewicza, naczelnika wydziału ruchu D.O.K.P. w Warszawie, Mgr. Adama Dobieckiego, delegata Zarządu Gł. A.L.K., Jakóba Glassa, b. sędziego sądu najwyższego, Mgr. Emila Henisza, naczelnika wydziału M.K., D-ra Marcina Kacprzaka, naczelnika wydziału M.S.W., Bolesława Kaczmarskiego, radcę M.K., b. delegata M.K. na M.K.K.A. w Bukareszcie, Inż. Marjana Kukłę, Prezesa A.L.K., senatora Lempkego, Władysława Nowosielskiego, naczelnika wydziału M.K., Jana Ochmana, radcę M.K., Gustawa Rożałowskiego, kierownika sekretarjatu M.K., Tadeusza Strzetelskiego, referenta prasowego M.K., D-ra Jana Surawskiego, naczelnika wydziału sanitarnego D.O.K.P. w Warszawie, Jana Szymańskiego, redaktora „Trzeźwości“, Marję Wortmanową, referentkę międzynarodowych kongresów w M.S.Z., D-ra Czesława Wroczyńskiego, naczelnika wydziału zdrowia magistratu miasta Warszawy, który objął referat na plenum Kongresu p. t. „**Alkoholizm a zdrowie pracowników kolejowych**“ i p. D-ra Romana Zadębrowskiego, lekarza D.O.K.P. w Warszawie.

Dnia 29-go kwietnia odbyło się w sali konferencyjnej D.O.K.P. w Warszawie organizacyjne posiedzenie Komitetu, na którym utworzono szereg komisji, a w szczególności: komisję finansowo-programową, komunikacyjno-wycieczkową, komisję imprez, kwaterunkową i prasową. Komisja finansowo-programowa opracowała szczegółowy kosztorys i w najbliższych dniach przedłoży go osobiście Panu Ministrowi.

Prace nad przygotowaniem Kongresu są w pełnym toku i należy mieć niepłonną nadzieję, że Zjazd ten wypadnie bardzo okazale, co wyprowadzi naszą organizację z ciasnych ram własnego podwórka i stanie się poważnym ośrodkiem propagandowym, nie tylko dla naszej idei, ale także dla kultury naszego Państwa.

Już z programu przesłanego nam przez Prezesa Międzynarodowego Związku p. Karola Webera z Zurychu wynika, że ostatni Jego pobyt w Polsce i zetknięcie się z decydującymi czynnikami, wpłynął pozytywnie na Jego zapatrywania na to, co się u nas tworzy. Prezydent Weber nie tylko, że z podziwem zwiedzał nasze zabytki z przed wieków, świadczące o wysokiej kulturze przedrobiorowej Polski, oraz



P. Karol Weber,
Prezes Międzynarodowego Związku Kolejowców
Abstynentów w Zurychu.

obecne zdobycze socjalne i państwowe, ale też nabył prawdziwego zaufania do pracy A.L.K., czego dał wybitny wyraz w oficjalnym organie M.Z.K.A. Między innymi przekonał się osobiście, że w Polsce można czas Kongresu spędzić bardzo pożytecznie, a nasz dorobek artystyczny i kulturalny wcale nie ustępuje zagranicznym wzorom.

Przez zwiedzenie wspaniałych architektonicznych zabytków Krakowa, prastarych, jedynych w swoim rodzaju żup solnych w Wieliczce, przez wycieczkę w Tatry i Pieniny, zyskają uczestnicy Kongresu tyle pouczających i pięknych wrażeń, że dobra pamięć o Polsce towarzyszyć będzie stale wspomnieniom o Kongresie w Warszawie.

Przed nami stoi jednak jeszcze jedno wielkie zadanie: musimy wykazać **sprawną i sprężystą organizację**. Musimy być bezwzględnie karni względem organizatorów i do najdalszych granic uprzejmi względem naszych gości. Organizacją Kongresu kieruje Prezes Ligi, Inż. Marjan Kukla, zastępować Go będą: w sprawach przejazdowych p. Konstanty Kryśko, główny instruktor ruchu D.O.K. P. w Radomiu, a w sprawach osobowych p. Feuerówna ze Lwowa, która wraz z skarbnikiem Ligi, p. Gołębiewskim, prowadzić będzie ewidencję Kart Uczestnictwa.

Dążeniem naszym jest, by jak największej ilości naszych członków umożliwić udział w Kongresie, oraz w wycieczce w Tatry i Pieniny.

Pan Minister Komunikacji przyrzekł udzielić uczestnikom Kongresu 7-dniowego płatnego urlopu okolicznościowego, zaś Komitety organizacyjne starają się o pozyskanie jak najdalej idących zniżek i ułatwień.

Wedle przewidywań w obecnej chwili (nie jest to jednak ostateczne), Karta Uczestnictwa dla członka Ligi kosztować będzie na czas od 15 do 20 czerwca, t. j. na wycieczkę i na Kongres, około 80 złotych, a na czas od 18 do 20 czerwca, t. j. tylko na pobyt w Warszawie, około 35 złotych.

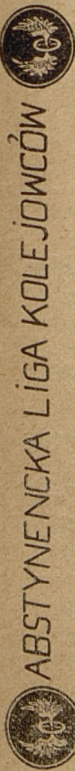
Karta Uczestnictwa będzie zaopatrzona w kupony upoważniające do bezpłatnego udziału we wszystkich zwiedzaniach, w wycieczce do Wieliczki, w przejazdach autobusami i łodziami na wycieczkach w Tatry i w Pieniny, we wszystkich wspólnych przyjęciach i posiłkach, oraz w imprezach urządzanych dla uczestników Kongresu, — poza tem Karty Uczestnictwa upoważniać będą do zarezerwowanych noclegów i posiłków, — bliższe dane, dotyczące programu Kongresu, przesyłamy Zarządowi Kół równocześnie z niniejszym numerem w postaci drukowanych afiszów.

Ze względu na ograniczoną ilość uczestników w wycieczce w Tatry i w Pieniny, oraz ze względu na potrzebę zarezerwowania noclegów i posiłków **zgłoszenia na udział w Kongresie, należy przysyłać na ręce Prezesa Ligi**, (Inż. Marjan Kukla, Warszawa, Ministerjum Komunikacji) **najpóźniej do dnia 5 czerwca b. r.**, z wyraźnym zaznaczeniem, czy dany członek zamierza wziąć udział w wycieczce i w Kongresie, czy tylko w Kongresie w Warszawie. (Wzięcie udziału tylko w wycieczce w Tatry, przy uchylaniu się od udziału w Kongresie w Warszawie jest niedopuszczalne).

WAGON — WYSTAWA.

W uzupełnieniu notatki, zamieszczonej w ostatnim numerze „Trzeźwości”, podajemy dziś rysunek wagonu-wystawy.

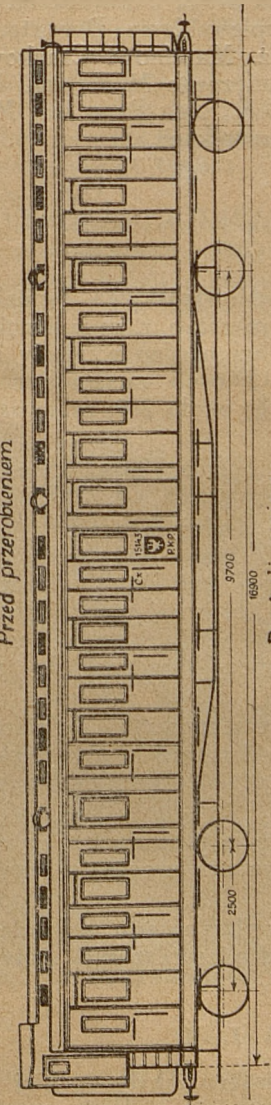
Budowę wagonu-wystawy zaprojektował **Dr. Aleksander Wincz**, lekarz sanitarny D.O.K.P. w Wilnie, wiceprezes A.L.K., projekt ten wraz z wyczerpującym memorjałem (który ogłosiliśmy w numerze 12 „Trzeźwości”) przedłożył Zarząd Główny Panu Ministrowi Komunikacji, zyskując łaskawe przyjęcie i aprobatę.



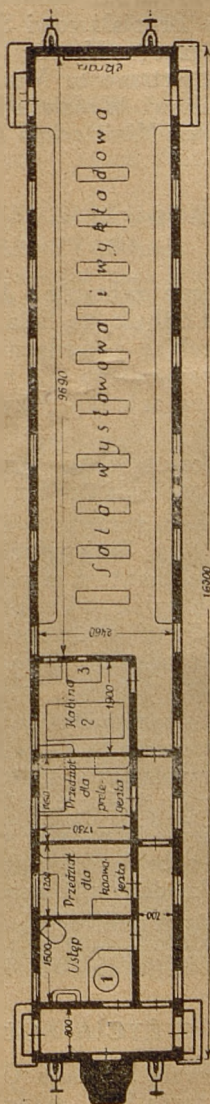
ABSTYNEŃCZA LIGA KOLEJOWCÓW

Wagon - Wystawa do walki z alkoholizmem.

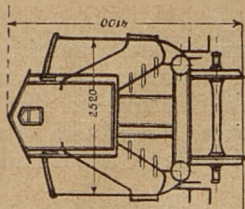
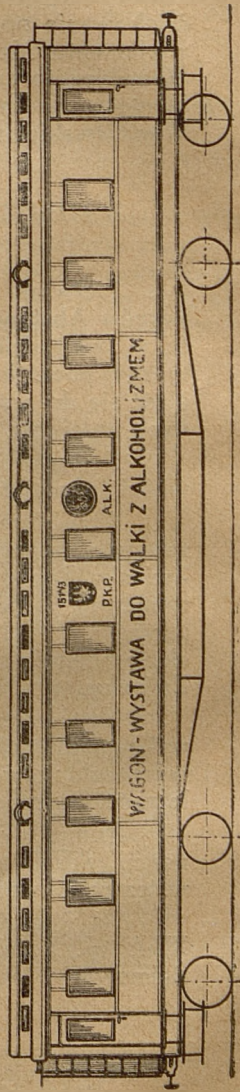
Przed przerobieniem



Przekrój poziomy.



Po przerobieniu.



1. Piec do samodzielnego ogrzewania wodą
2. Agregat ropny na prąd do oświetlenia i popędu kinoparafa
3. Aparat kinowy.

Poswięcenie Włocławek - Między-
 ławy odbył się dnia
 18. czerwca 1931r. w War-
 szawie w czasie Między-
 narodowego Kongresu
 Kolejowców Abstynen-
 ców w Polsce.

Dzisiaj budowa wagonu-wystawy postępuje w całej pełni, wykonują ją Główne Warsztaty P.K.P. w Łapach, pod fachowem doskonałym kierownictwem pp. Inż. Wincentego Siemaszki, kierownika działu wagonowego D.O.K.P. w Wilnie, Inż. Jana Bluma, Naczelnika Warsztatów Głównych w Łapach i Inż. Stefana Skrobeckiego, kierownika działu wagonowego tychże Warsztatów.

za przychylne i pełne zrozumienia poparcie naszych dążeń wybudowania wagonu-wystawy, oraz za udzielenie cennych rad i wskazówek, Zarząd Główny A.L.K. składa tą drogą najserdeczniejsze podziękowanie pp.: Inż. Bronisławowi Skupiewskiemu, Dyrektorowi Departamentu Mechanicznego M. K., Inż. Marcinowi Czarkowskiemu, Wicedyrektorowi Departamentu Mechanicznego M. K., Inż. Józefowi Wągnerowi, Naczelnikowi Wydziału M. K., oraz Panu Inż. Michałowi Wiszniewskiemu, Rady Ministerjum Komunikacji.

Z MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU KOLEJOWCÓW ABSTYNETÓW.

Pierwsze doroczne zebranie **Jugosłowiańskiego Związku Kolejowców Abstynentów** odbyło się dnia 8 marca b. r. w auli uniwersytetu w Belgradzie. Przebieg posiedzenia był bardzo wzniosły i sympatyczny; początkowo zamówiono salę na 150 osób, musiano jednak przenieść się do auli, bo na zebranie przybyło około 250, przeważnie młodych kolejarzy.

Organizacja jugosłowiańska liczy obecnie 700 członków, a prowadzi ją założyciel, naczelny lekarz z Belgradu, Dr. Dobrodolac.

Dnia 10 marca b. r. zorganizował naczelny lekarz Dr. Aleks Cziza zebranie propagandowe w **Budapeszcie**. Zebranie odbyło się pod egidą Związku Lekarzy Abstynentów, a przybyli nań liczni lekarze i wyżsi urzędnicy węgierskich kolei, oświadczyli gotowość czynnej pracy w organizacji K.A. Na audjencji u generalnego Dyrektora Kolei węgierskich okazało się, że odnosi się on nader życzliwie do założenia Związku.

Na uroczystym zgromadzeniu **rumuńskiego Związku K. A. w Czerniowcach**, które odbyło się dnia 13 marca b. r. przyjęto 35 nowych członków, co zawdzięczyć należy przede wszystkim żywej działalności p. inspektora Barbulescu.

Rumuńscy kolejarze bardzo uroczyście zobowiązują się do abstynencji, składając na ręce księdza abstynenta uroczystą przysięgę na wstrzemięźliwość w każdej okoliczności.

Na wszystkich tych zebraniach bawił jako gość prezydent M. Z. K. A., p. Karol Weber, wszędzie bardzo serdecznie witany i podejmowany.

Z ŻYCIA KÓŁ A. L. K.

Wykonując uchwałę Zarządu Głównego Abstynenckiej Ligi Kolejowców z dnia 16 marca b. r., mamy zaszczyt tą drogą wyrazić **Panu**

Dyrektorowi D.O.K.P. w Stanisławowie, Inż. Stefanowi Wiktorowi najserdeczniejsze podziękowanie za wprowadzenie nauki o alkoholizmie w szkole dla ruchowców.

Lublin.

Dnia 8 grudnia 1929 r., na walnem zebraniu Koła uchwalono utworzyć specjalny fundusz na budowę domu A.L.K. w Lublinie. W wykonaniu tej uchwały 487-miu członków Koła dobrowolnie opodatkowało się, deklarując, że będą wpłacać miesięcznie od 50 groszy do 5 złotych — zależnie od stanu majątkowego i zajmowanego stanowiska służbowego na P.K.P.

I oto, mimo tak ciężkich czasów, mimo kryzysu gospodarczego i ogólnej depresji w czasie od 11-go grudnia 1929 r. do 1-go maja b. r. zebrano dziesięć tysięcy złotych, które Zarząd Koła złożył na książeczkę P.K.O.

Na terenie Lublina pracuje około 3000 kolejowców, nie mają oni przyzwoitego lokalu, gdzieby mogli oddawać się kulturalnym rozrywkom, przeto kolejarz lubelski spędza czas wolny od pracy zawodowej z konieczności w kawiarni, karczmie i na ulicy, co chyba nie oddziałuje pozytywnie na wydajność jego pracy, nie przynosi chluby społeczeństwu, a rujnuje budżet rodzin.



Zarząd Koła A. L. K. w Dęblinie

z prezesem Zarządu Gł., Inż. Marjanem Kuklą, prezesem Okręgu Konstantym Kryską i prezesem Koła Dr. Kazimierzem Wyrzykowskim.

Z RUCHU PRZECIWALKOHOLOWEGO ZAGRANCĄ .

(Według: „Der Abstinent“, „The International Student“, „The International Record“ i innych).

SZWECJA.

Dzięki nauczaniu i energicznej propagandzie, ruch przeciwalkoholowy w Szwecji rozwija się pomyślnie. Opcja lokalna przyczyniła się w ostatnich latach do wzrostu suchych obszarów, zwłaszcza gmin wiejskich. Liczne jednak niedomagania obecnego systemu regulowania konsumpcji alkoholu zapomocą pozwoleń osobistych (książeczki systemu Dr. Bratta) skłoniły związki „umiarkowanych“ do podjęcia kroków, w celu obostrzenia prawodawstwa alkoholowego. Ostatnio wybrano dwie komisje, jedną parlamentarną, drugą z ramienia związków abstynencji, dla zbadania odnośnego problemu.

Niedawno czynniki rządowe wydały broszurkę na temat: „Alkohol a Bezpieczeństwo Ruchu Kołowego“. Autorami książki są dwaj znani profesorowie medycyny dr. Liljestrand i dr. Steenhof. W broszurce swej wskazują oni na zgubne działanie nawet kilku kropli alkoholu podczas jazdy samochodowej; dlatego też autorzy zalecają kierowcom bezwzględne wstrzymanie się od spożywania alkoholu, przynajmniej przed i podczas jazdy. Broszurkę tę doręczono wszystkim automobilistom.

Policja stockholmska uświadomiła sobie doskonale wpływ alkoholu na nieszczęśliwe wypadki, spowodowane przez szoferów i w związku z tem cofnęła w 1929 r. 261 praw jazdy niewstrzemięzliwym kierowcom. Z drugiej jednak strony i automobiliści poznali niebezpieczeństwo alkoholowe, czego dowodem jest wzrost liczby członków związku szoferów abstynentów. Dnia 31 grudnia 1930 r. związek ten liczył 7487 członków, wobec liczby 6166 w roku poprzednim.

INDJE.

RUCH WOLNOŚCIOWY A PROHIBICJA.

Polak, śledzący rozwój wypadów w Indjach, wita świt niepodległości tego kulturalnego narodu z nieklamana sympatją. Serdeczność ta jest momentem politycznym, przypomina się nam poprostu własna niedawna niewola i dlatego życzymy Indjom rychłej samodzielności. Polak-abstynent ma jeszcze inny powód radości; zdobycie niepodległości przez Indje oznacza bowiem osłabienie wpływu kapitału angielskiego, a zwłaszcza potężnego, brytyjskiego kapitału alkoholowego, ogarniającego Indje. Jednym z warunków, jakie Gandhi, zaraz po wyjściu z więzienia, postawił wice-królowi Indji, lordowi Irwinowi, było żądanie wprowadzenia zupełnej prohibicji w Indjach. Również hinduski kongres narodowy, który się odbył w marcu 1931 r. w Karachi, wystąpił z projektem całkowitego zakazu sprzedaży alkoholu. Dziwnem wydawać się może zrozumienie niebezpieczeństwa alkoholowego u nacjonalistów indyjskich; trzeba jednak zauważyć, że ruch przeciwalkoholowy w Indjach jest nie tylko zagadnieniem społecznym, lecz przede wszystkim problemem politycznym, rasowym i religijnym. Indyjski ruch anty-

alkoholowy, który rozpoczął się równoległe z polityczną kampanją bierności w roku 1921, poczynił w ostatnich latach znaczne postępy; obecni jego zwolennicy dążą do wprowadzenia zupełnej prohibicji. Projekt ten akceptuje kilka prowincyj, wśród których istnieją już dziś dwie suche gminy. Rząd prowincji Madras poszedł w swoich posunięciach również w tym kierunku, przeznaczając z rocznego budżetu sumę 10000 rupji na wychowanie przeciwalkoholowe. — Wydział Doradczy Urzędu Akcyz Zjednoczonych Prowincyj Indyj przygotował ostatnio szereg filmów i odpowiednią literaturę w celu uświadomienia ogółu o szkodach, jakie społeczeństwu indyjskiemu wyrządza wolna sprzedaż alkoholu. Jedną z przeszkód w propagowaniu prohibicji jest łatwość otrzymania alkoholu z drzew palmowych, obficie rosnących na obszarze Indyj. Zwolennicy prohibicji, chcąc zapobiec odnośnej produkcji, niszczą drzewa palmowe; ostatnio w okolicy Bombaju wycięto około 20000 drzew. W indyjskim ruchu przeciwalkoholowym czynny udział biorą kobiety; gromadzą się one np. przed szynkami, nie dopuszczając do nich mężczyzn. Nacjonaliści przychodzą kobietom z pomocą, głosząc, iż nie należy popierać rządu angielskiego przez picie trunków, od których skarb angielski pobiera wysoki podatek konsumcyjny.

W związku z powyższym ruchem ze wszystkich stron Indyj napływają wiadomości o spadku dochodów skarbowych z akcyz wskutek zmniejszonego spożycia alkoholu.

JAPONJA.

RUCH „SAKENASHIBI” — (DZIEŃ BEZ WÓDKI „SAKE”).

Każdy naród ma momenty, w których całe społeczeństwo, bez względu na stan, lub zapatrywania polityczne, odczuwa konieczność skoordynowanego wysiłku. Momentem takim było dla Japonji wielkie trzęsienie ziemi w roku 1923, które spustoszyło ogromnie majątek narodowy, niszcząc niemal całe połacie kraju. To też pomoc i akcja całego społeczeństwa była potrzebą chwili, co poszło tem łatwiej, iż Japończycy słyną ze swego patriotyzmu. W te dni żałoby narodowej grupa przeciwników alkoholu rzuciła inicjatywę, aby, na znak powszechnego smutku i skupienia, powstrzymać się w ciągu jednego dnia od picia „sake”. Myśl ta trafiła wtedy na bardzo podatny grunt i odtąd rok rocznie, staraniem studenckiego związku abstynentów, obchodzi się w Japonji „sakenashibi” (czytaj: Sakenasibi), który przypada na dzień 1 września, jako bolesną rocznicę straszego kataklizmu. Mimo, iż obchód trwa tylko jeden dzień, nabrał on jednak w ciągu lat znaczenia zorganizowanego ruchu. Dzień ten poprzedzają przygotowania, odczyty, afisze i wszelka inna propaganda. „Sakenashibi” cieszy się coraz liczniejszym zainteresowaniem i wywołał już w psychice japońskiej refleksję na temat konieczności abstynencji. Ostatni „sakenashibi” odbył się specjalnie imponująco, dzięki pomocy trzech ministerjów, a głównie Ministerjum Oświaty, które okólnikiem swym zaleciło wszystkim nauczycielom wzięcie udziału w powyższym ruchu. Setki studentów, spędzających wakacje na prowincji, związki młodzieży, kobiet, stowarzyszenia społeczne, a ostatnio i religijne, pracowały usilnie nad rozszerze-

niem idei „sakenashibi”. Propaganda posługuje się w ostatnich czasach najnowszymi środkami technicznymi, nie wyłączając samolotów i radja, to też ruch ten rokuje jaknajśmielsze na przyszłość nadzieje.

W roku bieżącym należy się spodziewać, iż do akcji „sakenashibi” przyłączy się około 400 szkół średnich.

O WARTOŚCI CZŁOWIEKA STANOWI JEGO MÓZG

(Mowa p. Dr. Charles Mayo, znanego amerykańskiego uczonego i chirurga).

Człowiek może chodzić z drewnianą nogą, lecz nie może mieć drewnianego mózgu. Z laboratoryjnego punktu widzenia ciało nasze nie jest wiele warte; w sumie około 98 centów, równoznacznych siedmiu kawałkom mydła, grudce wapna, która wystarczy do wybielenia kojca, oraz odrobinie fosforu, rozdzielonej na główki tysiąca zapalek. A więc — nie jest to tak wiele! Największa, nieproporcjonalnie do reszty wielka wartość naszego ja — to mózg. By mógł on sprawnie pracować, musimy ciało nasze utrzymywać w należytem zdrowiu. Nie łatwo temu sprostać, jeśli pijemy alkohol. Człowiek, który nosi w sobie żądzę, groźną w skutkach i niebezpieczną dla społeczeństwa, powinien odejść w odludzie i żyć samotnie. Tak jak nie uznajemy używania morfiny, kokainy i opjum, nie powinniśmy również tolerować odurzania się alkoholem, gdyż należy on do tej samej grupy narkotyków, wypaczających życie i przeznaczenie człowieka. Przez spożywanie alkoholu, mącimy koordynację naszego umysłu z ciałem, w czem trudno się dopatrzeć jakichkolwiek cech dodatnich.

Pijący pamiętają zazwyczaj moment, w którym zasiadają do stołu, aby wziąć do ręki kieliszek. Gdy jednak minie pierwsze pół godziny, podczas której często krążyły kielichy, nikt nie umie sobie przypomnieć, co działo się z nim samym i wokół niego.

Jeśli los zmusi pijącego do abstynencji, uważa on, iż dzieje mu się krzywda i bezprawie, gdyż pozbawiono go należytej swobody obywatelskiej. Domniemane jednak prawa tych nielicznych jednostek, które nie umieją jasno patrzeć w przyszłość, lub którym los narodu jest zgoła obojętny, muszą być odpowiednio regulowane, ażeby w ten sposób strzec świętego obowiązku wychowania młodych obywateli kraju, którzy, jako nowe pokolenie, wkraczają w życie. Młodzież nasza musi brać gorący udział w zapobieganiu i niedopuszczaniu do powrotu alkoholu. Być może, iż nie dorośliśmy jeszcze do naszych praw, lecz odpowiednie wychowanie z łatwością te braki wyrówna. Gdy młodsze pokolenie będzie odpowiednio uświadamiane, nie spotkamy wtedy obywatela, któryby pytał: „Dlaczego nie mam mieć praw wolnego obywatela i odmawiać sobie picia alkoholu?”. Na was, młodzieży, ciąży zadanie wypracowania doskonałej i trwałej prohibicji.

Zastanówmy się nad tem, czy był na świecie człowiek, któryby dokonał czegoś godnego pod wpływem alkoholu? Jeśli wiecie o takim, chciałbym o nim usłyszeć. My, wielki naród amerykański, staraliśmy

wia społeczeństwu legalny handel alkoholem. Strzeżmy się zgubnej tradycji alkoholowej, która mota niewidzialnymi sieciami, krępującemi nasze jestestwa. Pamiętajmy, iż o wartości człowieka stanowi jego mózg.

FILOZOFJA O PIWIE.

W momencie, gdy już miałem opuścić restaurację, do zakładu weszło trzech panów, którzy zasiedli przy sąsiednim stoliku i zadysponowali trzy duże piwa. Po chwili kelner, z właściwą mu gracją, postawił przed każdym pieniaący się kufel. Goście wypiwszy część złotego płynu w skupieniu, rozpoczęli głośną rozmowę, treść której skłoniła mnie do pozostania. — Nie uwierzysz, powiedział pierwszy, ale piwo w tej restauracji smakuje mi najlepiej.

Drugi podniósł kufel pod światło i zastanowiwszy się chwilę rzekł poważnie:

— Tak, masz słusność, jest zupełnie lekkie, a jednak smaczne.

— Mnie nie tylko dlatego smakuje — dorzucił trzeci — czyście nie zwrócili uwagi na jego temperaturę?

To był początek rozmowy. Dalej zaczęto się rozwodzić nad browarami dużymi i małymi, różnicami poszczególnych marek, nad sposobami utrzymania piwa w odpowiedniej temperaturze, nad znanymi wreszcie restauracjami, gdzie podają ów napój „doprawdy znakomity” i t. p.

— Piwo w Okocimskim byłoby nawet niezłe, gdyby podawano je o nieco niższej temperaturze.

— To zapewne tem się tłómaczy, iż piwnica leży zbyt blisko kuchni.

— Tak, tak, masz rację, drzwi z jednej prowadzą bezpośrednio do drugiej. Piwnica restauracyjna powinna mieć drzwi zupełnie izolowane; przestrzeń między nimi musi wynosić przynajmniej jeden metr; wtedy dopiero można utrzymać piwo w odpowiedniej temperaturze.

Ta sucha naukowość rozmowy i zabawna znajomość rzeczy wprowadziła mnie w zdumienie.

— Czyżby to byli piwowarzy, producenci lub handlarze chmielu? — pomyślałem sobie. O, bynajmniej! byli to trzej studenci-korporanci, którzy przybyli na Zjazd do stolicy. (Według Der Abstinent).

WĘDROWNI NAUCZYCIELE ALKOHOLOGJI.

Niemcy zdają sobie dziś dokładnie sprawę z potrzeby popularyzowania alkoholologii. Obecnie na terenie państwa pracuje 29 nauczycieli objazdowych, wykładających dany przedmiot. Działalność ich obejmuje, poza lekcjami w wyższych klasach szkół powszechnych, wykłady w średnich zakładach naukowych i szkołach zawodowych. W Anglii wędrowni nauczyciele istnieją już od lat trzydziestu, programy przytem szkolne uwzględniają zagadnienia z dziedziny alkoholologii. Ostatnio osiemnastu nauczycieli-specjalistów objeżdża szkoły prowincjonalne, aby zaznajomić młodzież z niebezpieczeństwem alkoholem.

Co się tyczy Austrii, to kuratorjum wiedeńskie wyznacza rok rocznie jednego nauczyciela do wykładów objazdowych z zakresu alkoholologii. Doświadczenie wykazało, iż system ten jest doskonałym środkiem dla ugruntowania abstynenckich przekonań młodzieży. Obcy nauczyciel i zmiana codziennego jednostajnego trybu lekcyj wpływają na to, że powyższe wykłady cieszą się wielkiem zainteresowaniem ze strony młodzieży szkolnej.

HENRYK FORD: «DLACZEGO WIERZĘ W PROHIBICJĘ?»

Wierzę w prohibicję, gdyż wierzę w epokę przemysłu. Pijaństwo nie mieści się już w programie dziennym nowoczesnego człowieka, tak jak np. jednokonna bryczka jest dziś anachronizmem na najruchliwszej ulicy miasta Detroit. Ponadto opilstwo w dobie obecnej jest rzeczą daleko niebezpieczniejszą, niż nam się pozornie wydaje. Minął już wiek konia i bryczki; alkohol musi zniknąć wraz z niemi. Dawniej obywatel, siedząc na koźle, mógł się powierzyć losowi, a raczej koniowi, na co nie można sobie pozwolić przy motorze samochodu. Niewielu dziś przypomina sobie te dawne czasy, w których ulice roiły się od pojazdów konnych, a karczmy przepelnione były gośćmi. Po skończonej libacji tłum niepoczytalnych mężczyzn wyciągał bryczki na środek ulicy, ustawiał lby końskie w odpowiednim kierunku — i obywatel wsiadłszy do wehikułu, powierzał się całkowicie opiece konia; ten, jako jedyna trzeźwa istota, sam trafiał do domu. Gdybyśmy dzisiaj znów otoczeni byli karczmami, musielibyśmy odstawić nasze samochody i jeździć przy pomocy konia, automobil bowiem nie biegnie prawidłowo, jeśli nim nie kierują sprawne ręce; trudno przytem wymagać, aby samochód znał drogę powrotną do domu. Wiek przemysłu raz na zawsze zerwał z pojęciem lejc, bryczek i koni — w roli opiekunów człowieka. Nie można również dzisiejszych ulic otoczyć szynkami: gościńce bowiem, zaludnione motorami o sile 40 H. P., nie znoszą nietrzeźwych kierowców.

Maksymiljan Herwich.

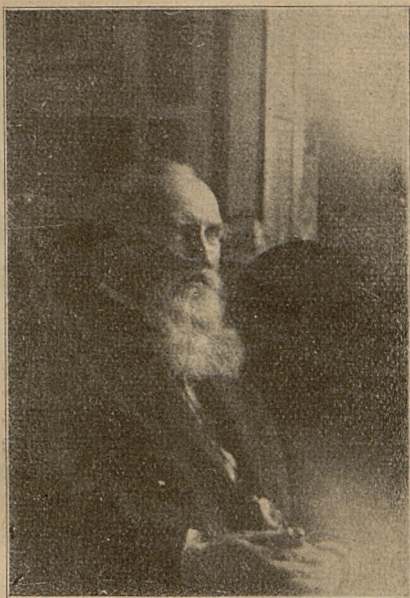
LIST KRAKOWSKI.

Kraków, w maju.

Jak w roku ubiegłym urządzony w Krakowie Kurs alkoholologii miał słuchaczy przekonać, że nasze bojowanie o trzeźwość narodu, to „walka o człowieka” — o ocalenie tego pierwiastka człowieczeństwa, który zabija w ludzkości właśnie alkohol, doprowadzający swą ofiarę do zbydłęcia: tak znowu tegoroczny Kurs tutejszy, świeżo z nadzwyczajnem powodzeniem zakończony, odbywał się pod hasłem „Wyzwolenie człowieka”.

O tem, jak trafne jego wielce zasłużony organizator, prezes Kalinowski dał nazwanie temu bogatemu w treść cyklowi 40 wykładów pierwszorzędných prelegentów—rozwodził się w głębokich słowach prałat Maśliński na inauguracyjnym nabożeństwie w przepelnionym kościele akademickim, życząc „Trzeźwości” powodzenia w błogosławionej pracy wyzwiania społeczeństwa z niewoli nałogu. Cieszyć się należy, że jego kazanie będzie ogłoszone drukiem. Literatura abstynencka bowiem ma

właśnie lukę w dziale kaznodziejskim: nie brak może kazań odpowiednich na misje, ciskających gromy gniewu na pijaków; tymczasem mów do inteligencji, choćby na tego rodzaju okazje, jak rozpoczęcie kursu, szukają kapłani sobie na wzór daremnie. Słowem również tego rodzaju była mowa inauguracyjna Biskupa Rosponda, chętnie popierającego akcję „Trzeźwości”. Zresztą widać, że na gruncie krakowskim życzliwie odnosi się do niej duchowieństwo, czego dowody miewaliśmy ostatnimi czasy, a w tutejszych stosunkach może to nieraz decydować o powodzeniu trudnego przedsięwzięcia. Z jakąż np. zachętą i pochwałą odezwał się publicznie wobec paru tysięcy osób z inteligencji w złotej sali Domu Katolickiego, na akademji „Trzeźwości” w lutym Książę Metropolita Sapieha, odpowiadając na przemówienie prezesa Kalinowskiego. To też i kursa przezeń tu corok organizowane cieszą się uznaniem w tych sferach i jeżeli w tym roku alu-



P. Kazimierz Kalinowski,

znany literat i publicysta, Prezes Krakowskiego Koła T-wa „Trzeźwość”, zasłużony i niezwykle czynny działacz na polu walki z alkoholizmem.

mni trzech tutejszych seminarjów duchownych (krakowskiego, śląskiego i częstochowskiego) nie tak masowo chodzili na wykłady, jak na kursie zeszlórocznym, to tylko dlatego, że właśnie teraz przypadł u nich czas egzaminów.

Zresztą na Wszechnicy Jagiellońskiej żywy jest ruch abstynencki wśród studentów teologii. Jeden z ich profesorów, ks. dr. Wicher wystąpił na kursie z referatem, w którym nie było ani cienia tonu kazaniowego, do czego mógł usposobić temat o rodzinie, ale jak

się wyraził sprawozdawca „Głosu Narodu”, przez cały czas kursu codziennie podający streszczenia wykładów, stanowiące cenną propagandę na prowincji — była to raczej rozprawa naukowa, w której biolog z socjologiem podali sobie ręce, by utworzyć drogę teologowi do wyreczenia zdania, jak dalece jad alkoholowy niszczy zarodek życia ludzkiego, zabija podstawową komórkę życia społecznego — rodzinę.

Wykład ks. prof. Wichra pozyskał red. Szymański, łowiący w miarę możliwości najcenniejsze referaty z kursu, do druku w „Trzeźwości”.

Nuta głębokiej troski o przyszłość i tej rodziny, i społeczeństwa, i wogóle człowieczeństwa, brzmiała dalej w referatach etycznych i kulturalnych, które kolejno znajdują się na łamach naszego organu. Prof. Klemens Jędrzejewski z Płocka, świetny mówca, dał rzecz przemyślaną głęboko na temat czynnika rozkładu, kryjącego się w alkoholizmie i oczywiście organizatorzy tego rodzaju imprez ruchu abstynenckiego o takim prelegencie nadal pamiętać będą. Znany już na naszej niwie jako prelegent, p. Kaz. Kalinowski, zestawiał w swych referatach alkohol i z moralnością i z kulturą, dając po szeregu obrazów dziczy i barbarzyństwa z dziejów naszych i obcych, wizję strasznej przyszłości, jaka czeka świat w razie staczenia się człowieka w przepaść coraz niższego upadku pod szatańskim wpływem alkoholizmu. Powtó-



Kurs Alkoholologii w Krakowie: fragment „Złotej Sali”, Domu Katolickiego, podczas wykładu dyrektora Duchowicza ze Lwowa.

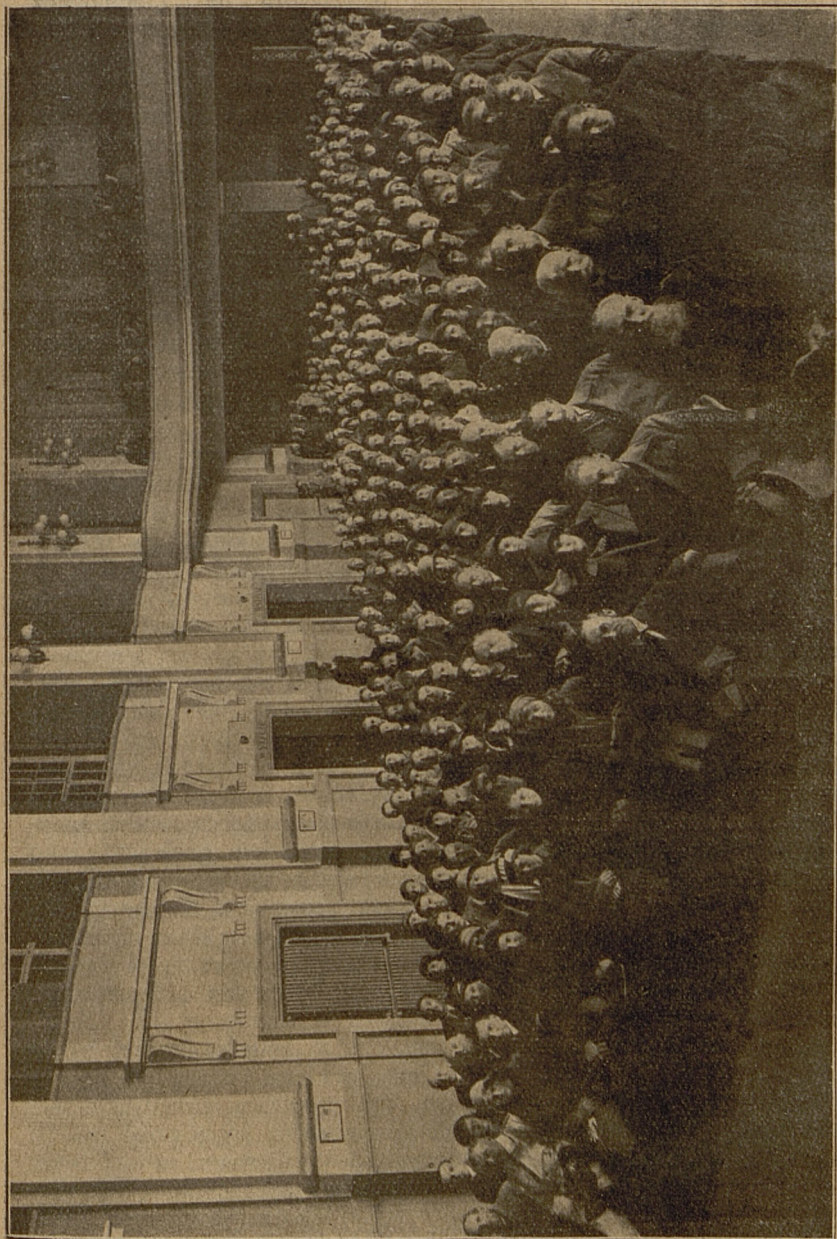
(Fot. St. Mucha).

coraz niższego upadku pod szatańskim wpływem alkoholizmu. Powtórzywszy zaś na kursie referat, jaki miał w Wilnie na plenarnem zebraniu Kongresu ogólnopolskiego, ukazał dzisiejszą literaturę i sztukę tworzoną w oparach alkoholu i propagującą ucieczkę od życia w zdradną topliel narkozy — jako najgroźniej nam niebezpiecznego „truciciela ducha”. To znowu w ciekawej koncepcji literackiej, wiążąc etyczną stronę zagadnienia z estetyką życia tak zohydzaną stale przez brutalny egoizm nałogu, p. Ela Oleska rzuciła szereg myśli dotychczas nieporuszanych przez innych referentów.

Wplecenie rozmyślnie pierwiastka publicystycznego w większej mierze, niż się to praktykować zwykło na kursach tego rodzaju, nie tylko ożywiało w sposób pożądaný nastrój długiego cyklu wykładów ludzi nauki, ale jeszcze z poza sfery niemal zamkniętej działaczy, oddanych wyłącznie trudnej robocie abstynenckiej propagandy — wciągnęło w nasze szranki bojowe nowe siły z pośród społeczników i nawet ze świata literackiego. Tutaj jako prelegentki, pierwszy raz na taki kurs zaproszone, wymienić należy znaną najbardziej z niwy politycznej i dzięki swemu stanowisku wpływową działaczkę społeczną, p. wojewodzinę Kwaśniewską, która szczerze odczuwając bolączkę alkoholizmu, w ujmujący sposób wskazała praktycznie kobietom ich rolę w walce z plagą; oraz z obozu przeciwnego, cichą społecznicę ze sfery ziemiańskiej, p. Marję Kępińską, która znowu subtelnie opracowała referat o ratowaniu dziecka przed coraz groźniejszym niebezpieczeństwem. Z dna życia, z piekła ostatecznego upadku ludzkiego, wyprowadził ofiary alkoholizmu w obrazie przerażającym (także dla naszego pisma pozyskanym) poeta-laureat i coraz głośniejszy za granicą powieściopisarz, Jan Wiktor.

Pracujący na polu społecznem sędzia dr. Czuchajowski, z własnej praktyki karnej, przytaczając osobliwe przykłady, dał bardzo cenny referat o polityce kryminalnej w dziedzinie alkoholizmu i wraz z głośnym kryminalogiem, znakomitym profesorem Wachholzem, który nasz kurs uświetnił niezwykle ciekawym wykładem, uświadomił słuchaczy, jaką w przestępczości rolę potężną odgrywa lekceważony przez władze państwowe alkoholizm. Znany czytelnikom „Trzeźwości”, z głośnego w swoim czasie odezwania się w obronie oskarżonej niewinnie prokuratorowej Kasznicowej, której towarzyszy tragicznej wycieczki w Tatrach zdradnie pozabijał koniak, redaktor dr. Roman Kordys opowiadał na kursie przedziwne rzeczy o tem, jak bardzo wystrzegać się musi alkoholu sportowiec i turysta, a właśnie tych dziedzin znanwą praktycznym jest prelegent. Nader silne wrażenie na kursle wywarły przerażające cyfry marnowanego na pijaństwo grosza, jakimi ze swoistym sarkazmem operował w żywym wykładzie na temat gospodarczy p. Mikołaj Skiba, popularny w całej Polsce propagator trzeźwości. Z tego wrażenia słuchacze długo nie mogli się otrząsnąć.

A już rewelacją stało się odezwanie wicekuratora, d-ra Ziemnowicza, który niedawno powrócił z dłuższego objazdu Ameryki i opowiedział słuchaczom osobiste wrażenia, wyniesione z terenu głośnej dzisiejszej prohibicji. Nie zwiedzał Stanów dla studjowania jej następstw ujemnych czy dodatnich, bo jeździł tam jako pedagog. A jednak nie mogło ująć jego uwagi, jak błogostawione skutki ma zniknięcie alko-



Kurs Alkohologii w Krakowie: fragment „Złotej Sali”, Domu Katolickiego,
podczas wykładu dyrektora Duchowicza ze Lwowa.

(Fot. St. Mucha).

tam stały się teraz obrazem rodzinnego szczęścia i dobrobytu rodziców dzieci. Interesujące spostrzeżenia jego (które dr. Ziemnowicz obiecał napisać do „Trzeźwości”), zbijają całkiem szerszone u nas tendencyjne bajki o prohibicji.

Inni prelegenci ze świata pedagogicznego, jak prof. Strumiłło, jeden z twórców harcerstwa, najliczniejszej w Polsce organizacji abstynenckiej; jak zasłużony O. Kuznowicz, twórca Abstynenckiej Centrali Młodzieży; jak niestrudzony działacz lwowski, dyrektor Duchowicz — mówili o metodyce walki z alkoholizmem za pośrednictwem szkoły lub poza nią i o organizowaniu w tym celu społeczeństwa. O zadaniach naszych związków referował gość, zaproszony z Poznania, ks. sekretarz Gałdyński, kierujący tamtejszą Centralą.

Wreszcie za kulisy całej naszej akcji wprowadził uczestników główny jej w Polsce od szeregu lat reżyser — jak go ktoś nazwał u nas w prasie — redaktor Jan Szymański, w czterech wykładach pełnych, jak zawsze cennej treści i ukazujących całokształt zagadnienia we właściwym świetle.

Naukowy dział krakowskiego Kursu, prowadzony przeważnie przez siły miejscowego Uniwersytetu, był oczywiście utrzymany na wysokim poziomie. Poza wspomnianymi już wyżej profesorami, wykładali: z zakresu chemji i farmakologii d-rowie: Supniewski i Skarżyński oraz dyr. Duchowicz, przemili mówca, którego wykład o narkotykach poprzedziło wyświetlenie filmu „Ze świata podniet i rałogu”, zrobionego w Genewie z udziałem neurologów pod egidą Ligi Narodów; dalej z dziedziny fizjologii dr. Kaulbersz; o związku z gruźlicą, dr. Biernacki, o związku z wenerją, dr. Pawlas; wreszcie z zakresu neurologji i psychjatrii kierownicy odpowiednich zakładów — d-rowie: Stryjeński, Artwiński, Zieliński, Frąckowiak i Zajączkowski. Z tych wykład docenta Artwińskiego, który demonstrował rzadki przypadek choroby Korsakowa, odbył się na klinice uniwersyteckiej, jednej z najlepszych w Europie, stworzonej przez prof. Piltza, którego pamięć i zasługi specjalnie w dziedzinie alkoholologji uczcił wspomnieniem prelegent, jako Jego następca na dorocznym Kursie krakowskim w tej samej sali klinicznej. Najbliższy współpracownik nieodżałowanego Profesora dr. Frąckowiak, w paru wykładach nader ciekawych z zakresu charakterologji, dał się poznać jako obiecujący uczoney, a wyborny prelegent.

Po wykładzie d-ra Zajączkowskiego z Warszawy o leczeniu alkoholików, oraz o metodach stosowanych w zagranicznych lecznicach dla narkomanów, które sam zwiedził w siedmiu państwach przed objęciem w Polsce kierownictwa takiego zakładu państwowego — zwrócili się do prelegenta obecni na sali poważni przedstawiciele miejscowego świata psychjatrycznego, zapraszając, by jeszcze raz do Krakowa przyjechał, podzielić się swemi spostrzeżeniami w fachowym kole lekarzy. Wreszcie traktujący zagadnienie alkoholizmu jako niebezpieczeństwo dla obrony państwa referat, lekarza wojskowego, majora Jaworskiego, który wziął udział w Kursie z ramienia Sanitarjatu D.O.K., zwrócił tem milej uwagę, że w czasie uroczystego aktu otwarcia Kursu przemówił w imieniu Dowódcy Okręgu szef sanitarny, płk. Nadolski, zapewniając oficjalnie o walce wydanej w naszym wojsku alkoholizmowi.

ZJAZD DELEGATÓW KÓŁ TOWARZYSTWA «TRZEŻWOŚĆ».

PROGRAM.

Niedziela, dnia 24 maja:

- godz. 9 m. 30 1) Zbiórka w lokalu T-wa, Rynek Starego Miasta 38, I p., tel. 441-07;
- „ 9 m. 45 2) Msza św. w Katedrze św. Jana przed ołtarzem Pana Jezusa, kazanie wygłosi ks. prof. dr. Jan Cierniewski ze Lwowa;
- „ 10 m. 45 3) Otwarcie Zjazdu. Wybór Prezydum Zjazdu. Odczytanie protokółu poprzedniego Zjazdu;
- 4) Sprawozdanie Zarządu Głównego i Komisji Rewizyjnej. Wnioski Zarządu Gł. w sprawie zmiany statutu T-wa;
- „ 12-ta 5) Uroczystość poświęcenia i otwarcia lokalu T-wa, składnicy wydawnictw przeciwalkoholowych, oraz higieny społecznej;
- „ 12 m. 30 6) Posiedzenie Komitetu Organizacyjnego X-go Polskiego Kongresu Przeciwalkoholowego w Krakowie;
- „ 15-ta 7) Wspólny obiad u P.P. Kanoniczek, ul. Senatorska 18, tel. 667-73.
- „ 16-ta 8) Dalszy ciąg obrad Zjazdu Delegatów:
- a) dyskusja nad sprawozdaniem i wnioskami Zarządu Gł. i Komisji Rewizyjnej,
- b) sprawozdania delegatów Kół,
- c) dyskusja,
- d) uchwalenie rezolucyj,
- e) wybory uzupełniające do Zarządu Gł., do Rady Nadzorczej (Komisji Rewizyjnej) i Sądu Honorowego,
- f) zamknięcie Zjazdu.

Poniedziałek, dnia 25 maja:

- godz. 8 m. 30 1) Zbiórka w lokalu T-wa, Rynek Starego Miasta 38;
- „ 9—13 2) Zwiedzanie Zamku, Muzeum Narodowego i Łazienek Królewskich;
- „ 13-ta 3) Dwa odczyty w lokalu T-wa: 1) Paweł Letniowski, Prezes Koła Tow. „Trzeźwość” w Jarosławiu: „Jak ożywić naszą pracę w Kołach T-wa „Trzeźwość”, 2) Dr. Stanisław Skalski, Naczelnik Wydziału Zdrowia w województwie łódzkim: „Nasze zadania w walce z alkoholizmem, a zmieniona ustawa przeciwalkoholowa”. Po odczytach dyskusja;
- „ 16-ta 4) Obiad wspólny.

Powodzenie sprawy walki z alkoholizmem zależy w znacznym stopniu od stopnia poczytności naszej prasy abstynenckiej — gdyż jest ona stałym i wytrwałym agitatorem haseł otrzeźwienia społeczeństwa, a więc dobra narodu i państwa. Oddani idei tej czytelnicy powinni w miarę możliwości czynnie współdziałać w rozpowszechnieniu pism przeciwalkoholowych. Obowiązek to tem większy i pilniejszy, że prasowa agitacja wielkiego kapitału alkoholowego, prowadzona jest na olbrzymią skalę!

K R O N I K A

Ś. p. Prof. Dr. Karol Klecki zmarł w Krakowie. W r. 1904 wydał cenne studjum p. t. „Alkoholizm i Antyalkoholizm”. Nie biorąc czynnego udziału w ruchu przeciwalkoholowym, bardzo poważnie zajmował się tem zagadnieniem teoretycznie. Cześć Jego pamięci!

Słuszna uwaga. W katowickiej „Polonji” znajdujemy następującą notatkę: „Braki obrazkowe w szkołach. W ostatnich czasach szkoły w woj. Śląskiem zostały zasypane mnóstwem obrazów i obrazków historycznych, geograficznych, przyrodniczych, mających służyć, jako środki pomocnicze do nauki odpowiednich przedmiotów, a przedewszystkiem nauki o Polsce współczesnej... Obrazy te są umieszczane na ścianach korytarzy i klatek schodowych, żeby młodzież miała je stałe przed oczami... Chociaż dużo z tych obrazów nie przedstawia prawie żadnej wartości dydaktycznej, sama jednak akcja dobra jest i godna poparcia. Zadziwia tylko, dlaczego wśród setek, a nieraz i tysięcy tych obrazów, niema często ani jednej tablicy, wymową swego obrazu, zwracającej uwagę młodzieży na działanie straszliwego wroga — alkoholu — niszczącego nawet najbardziej wykształcone umysły, zdrowie, moralność — całego człowieka, całe rodziny i społeczeństwa. Na cóż przyda się człowiekowi, choćby posiadał 3, a nawet 5 doktorów, jeżeli, nieświadomiony od młodych lat, padnie ofiarą nałogu alkoholowego. Na cóż przyda się całe wychowanie człowieka, jeżeli nie powstanie w nim silna cnota trzeźwości, bez której niemasz pełnego człowieczeństwa? Zwraca się w szkołach uwagę na rozszerzenie horyzontów wiedzy historycznej, geograficznej, przyrodniczej i t. p. młodzieży, a dziedzina wyrobienia trzeźwości, a przez nią woli i charakteru, leży jeszcze bardzo zaniedbana... A przecież np. takie szkoły węgierskie (nie mówiąc o innych) są zarzucone tablicami i obrazami przeciwalkoholowemi, bo ochrona i kształcenie trzeźwości są także poważnemi składnikami pracy wychowawczej...”

Więc możeby nasze władze oświatowe i nasze firmy wydawnicze i pomocy szkolnych pomyślały nad tem i z początkiem przyszłego roku szkolnego wprowadziły do szkół tablicową i obrazkową propagandę trzeźwości, jednej z największych cnót osobistych i obywatelskich.

Wszakże przyszłość należy do narodów trzeźwych — a przyszłość ta jest właśnie w rękach młodzieży...”

Uwagi słuszne. Oby u nas jak najprędzej szkoły i gimnazja poszły za przykładem Dyrektora VIII gimnazjum we Lwowie, p. Duchowicza, który w obszernych salach i korytarzach gmachu szkolnego, urządził istotnie pouczającą i imponującą wystawę przeciwalkoholową, wykonaną przeważnie przez uczniów za zachętą i pod kierownictwem samego Dyrektora — abstynenta. W takich wypadkach trzeźwość i jej błogie skutki „robią się” same!

„Honorowy kielich wody” spełniany bywa przez załogę sterowca japońskiego po dokonaniu lotu rekordowego. Rzecz jasna, że przed lotem, tembardziej nie może być tam mowy o używaniu jakichkolwiek napojów alkoholowych.. Niestety, niestety, nie wszędzie panują tak godne naśladowania zwyczajel..

Ustawa pijacka ma podobno wejść w życie z dn. 1 lipca. A możeby ją należało przedtem nieco.. „znowelizować”, taka operacja „literacka” wyszłaby z pewnością na dobre godności i narodu, i państwa polskiego?

Z życia naszych Kół — przygotowaliśmy obszerny materiał — brak miejsca uniemożliwił nam umieszczenie go w tym numerze. Zaznaczamy, że szczególnie żywą i skuteczną działalność rozwijają Koła nasze w Krakowie, Koźmierzycach,

Porzeczko koło Grodna, w Warszawie na Mokołowie, w Kowlu, w Mielnicy na Wołyniu, w Jarosławiu i na Annopolu w Warszawie. Powstały nowe Koła: w Chełmie, pod przewodnictwem Dr. Ignacego Fuhrmana, w Zdołbunowie, gdzie prezesem jest Inspektor szkolny, p. Brauliński, w Puzewiczach (przewodniczy p. A. Sarłai), na Grzybowie w Warszawie — prezes p. Jan Reytan, a ostatnio w Kosocicach pod Wieliczką, gdzie przewodniczącą została wybrana p. Anna Stachurska. Nowym tym placówkom wielkiej sprawy odrodzenia narodu przesyłamy najserdeczniejsze życzenia pomyślności i rozwoju — Szczęść Boże!

Rezolucja Pocztcwów. — Z powodu 15% obniżenia poborów odbył się w Krakowie wiec Pocztcwów, na którym m. i. uchwalono:

„Pkt. 2. — Zebrani uchwalają wstrzymanie się od wszelkich świadczeń materialnych na różne instytucje społeczno-państwowe, oraz wstrzymać się od używania tytoniu i napojów alkoholowych, aż do czasu ustalenia minimum egzystencji niższych pracowników pocztowych”. („Naprzód”).

Słowem — istny bigos... chodzi nie o zdrowie, lecz o pobory, samo zaś sedno sprawy, t. j. kwestja szkodliwości nikotyny i alkoholu pozostaje daleko na uboczu w całkowitem — niezrozumieniu...

Długowieczność i abstynecja. Najstarszym człowiekiem na świecie ma być turek, Zara Aga, urodzony w r. 1774. Niedawno odbył on podróż agitacyjną do Stanów Zjednoczonych A. P. z inicjatywy amerykańskiej „Ligi przeciw szynkom”, jako żywy argument na rzecz abstynencji, prohibicji, gdyż fenomen ten jest w myśl zasad Koranu ścisłym abstynentem, co podkreślił obecnie również w wywiadzie dziennikarskim w Londynie. Zara Aga jada najchętniej proste, chłopskie potrawy swej ojczyzny: zupę z owsianki, mleko zsiadłe, ryż na mleku, nie pali papierosów i nawet nie znosi dymu tytoniowego, nigdy też nie zaznał smaku jakiegokolwiek napoju alkoholowego.

Zakaz. W związku z ochodami 1-go maja, Komisarjat Rządu na m. st. Warszawę wydał zakaz sprzedaży w dniu tym napojów alkoholowych na obszarze stolicy, pod grozą kar grzywny i utraty koncesji.

„Humor” b. wiceministra skarbu p. Starzyńskiego. Kat. Ag. Prasowa, organ episkopatu polskiego, podaje następujący komunikat.

Jesteśmy obecnie w posiadaniu urzędowego stenogramu przemówienia w Sejmie z okazji debaty nad nowelą do ustawy antyalkoholowej wiceministra skarbu, p. Starzyńskiego. Przeciwno końcowemu oświadczeniu ówczesnego przedstawiciela rządu musimy kategorycznie zaprotestować, jako uwłaczającemu powadze episkopatu i samego rządu.

Jak wiadomo, przed debatą sejmową w imieniu episkopatu Polski, zwrócił się do rządu JE. ks. biskup Stanisław Łukomski z prośbą o usunięcie z noweli tych punktów, które stanowiły pogorszenie ustawy z r. 1920. W memorjałe swym z dnia 3 kwietnia ks. biskup wymieniał poszczególne punkty, które stanowią niebezpieczeństwo rozszerzenia się alkoholizmu w Polsce, a więc podwojenie ilości miejsc detalicznej sprzedaży alkoholu, rozszerzenie sprzedaży na bufety stacyjne, zezwolenie na sprzedaż alkoholu w czasie zabaw, w niedzielę i święta, w najbliższej odległości od świątyń i szkół i t. p.

„Z całego projektu — pisał ks. Biskup, sekretarz Episkopatu Polski — przebiega wielkie niebezpieczeństwo dla zdrowia społeczeństwa. Praca ludzi dobrej woli skierowana ku zwalczaniu alkoholizmu, ich wysiłek szerzenia cnoty trzeźwości, nawoływanie do oszczędności, do podniesienia zdrowotności narodu i podniesienia

sytuacji majątkowej szerokich warstw, będą daremne, jeśli te usiłowania napotkają na ułatwienie sprzedaży alkoholu przez liczne miejsca sprzedaży".

Jak widzimy zatem, sprawa postawiona była bardzo wyraźnie. Z uchwał sejmowych wiemy, że zastrzeżenia episkopatu nie zostały wzięte pod uwagę; wszystkie punkty noweli, co do których Episkopat zgłosił sprzeciw, stały się ustawą państwową.

Ale oto, co mówił p. wiceminister skarbu, Starzyński, dn. 13 kwietnia przy uzasadnieniu noweli rządowej:

„Tu był zgłoszony wniosek, aby powołać się na odezwę Episkopatu, wniosek, ażeby odłożyć tę ustawę. W odezwie episkopatu jest prośba o to, ażeby te rzeczy, któreby w nowej ustawie pogarszały postanowienia ustawy z 1920 roku, aby zostały zmienione. Ponieważ, jak stwierdziłem, ta ustawa poprawia ustawę z r. 1920, więc ci wszyscy panowie, którzy na tej podstawie chcieli dziś tę ustawę odroczyć, czy zmienić, mogą być spokojni w swoim sumieniu, że idą za duchem odezwy Episkopatu polskiego: (oklaski na ławach BB.)”.

Z powyższego rzuca się w oczy niepoważne ujęcie sprawy. Mógł p. wice-minister Skarżyński nie zgodzić się ze stanowiskiem Episkopatu — to jego prawo. Ale twierdzić wbrew oczywistości wobec Sejmu, że nowela pokrywa się ze stanowiskiem episkopatu, to są żarty, nie godne przedstawiciela rządu.

OKÓLNİK

Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Stanisławowie, wydany na podstawie Rozporządzenia P. Ministra Komunikacji do Wydziałów Dyrekcji i wszystkich urzędów wykonawczych i Pp. Lekarzy kolejowych tutejszego okręgu.

W ostatnich czasach mnożą się wypadki stawania do służby i pełnienia jej przez pracowników kolejowych, będących w stanie zupełnego lub częściowego odurzenia skutkiem opilstwa. Spowodowało to już cały szereg nieszczęśliwych wypadków, pociągający za sobą utratę życia i zdrowia podróżnych i pracowników kolejowych, a nadto olbrzymie straty materialne.

Tego rodzaju wypadki poniżają w opinii publicznej cały stan kolejarzy i wzbudza w publiczności zaniepokojenie o zdrowie i mienie podróżnych, powierzone pieczy pracowników kolejowych. Ponadto wzbudza się w publiczności przekonanie, że pracownikom kolejowym dobrze się widocznie powodzi, skoro mają fundusze na bardzo dziś drogie napoje alkoholowe. Taka opinia publiczna krzywdzi tych pracowników kolejowych, którzy mimo ciężkiego położenia materialnego sumiennie wykonują swoją służbę i może w wysokim stopniu utrudnić rządowi usiłowania do polepszenia bytu pracowników kolejowych.

Wzywając ogół kolejarzy do przeciwdziałania tym zgubnym objawom zarządziło Ministerjum Komunikacji reskryptem z dnia 29 stycznia 1923 L. Dz. I. 19641/5/22, co następuje:

Każdy wypadek stwierdzonego pijaństwa w czasie pełnienia służby, będzie przedmiotem dochodzenia dyscyplinarnego i będzie najsurowiej karany.

Na naczelników służbowych i przełożonych nakłada się bezwzględny obowiązek protokólnego stwierdzenia każdego wypadku zgłoszenia się podwładnego personelu do służby w stanie nietrzeźwym, lub pełnienia służby w stanie nietrzeźwym i niezwłocznego przesyłania tych protokółów do przełożonych Dyrekcji z wnioskiem o wytoczenie postępowania dyscyplinarnego.

Postępowanie dyscyplinarne w takich wypadkach ma być przeprowadzone z jak największym pośpiechem.

Wspomniane wyżej protokoły stwierdzenia stanu nietrzeźwego, winny prócz daty, miejsca spisania, nazwiska i stanowiska służbowego pracowników badanego, nazwiska przełożonego, który zarządził spisanie protokołu i funkcjonariusza spisującego protokoły, oraz nazwisk prywatnych, dwóch świadków zawierać następujące dane:

1). Powód dochodzenia (doniesienie, lub własne spostrzeżenie zarządzającego, spisanie protokołu), 2). Stwierdzone objawy nietrzeźwości fizjologiczne, jako to: a). zapach alkoholu, b). wyraz i kolor twarzy, c). wzrok mętny, d). chód niepewny, e). senność, f). wymioty; **intelektualne, jako to:** g). mówienie bez związku (przykłady rozmów z nim): h). bezmyślne postępowanie (przykłady postępowania): 3). Wniosek na podstawie powyższych oznak, czy zachodził stan zupełnej nietrzeźwości, czy tylko stan podchmielenia. 4). Jaką służbę pełnił iub miał pełnić w chwili zauważenia u niego stanu nietrzeźwości. 5). Co zarządzono wskutek jego nietrzeźwości. 6). Godzina i minuta rozpoczęcia i ukończenia badania.

W razie obecności lekarza kolejowego na miejscu należy go wezwać do zbadania pracownika nie zaniechując jednak spisywania powyższego protokołu, na którym lekarz dopisze swoje uwagi.

Dwóch świadków przybrać należy zawsze z tego powodu, że pracownicy oskarżeni o pijaństwo bronią się następnie twierdzeniem, że byli chorzy, a nie pijani.

Protokół podpisują: przełożony, który zarządził jego spisanie; pracownik, który protokół pisał i obaj świadkowie, umieszczając wyraźne podpisy z dodaniem stanowiska służbowego każdego podpisującego. —

Niniejsze rozporządzenie Ministerstwa Kolei Żelaznych należy podać do wiadomości ogółu tamt. personelu.—

Dyrektor kolei państwowych:

(—) podpis nieczytelny.

Rocznik Psychjacyjny. — W ostatniej chwili, przy zamknięciu numeru — otrzymaliśmy nowy zeszyt (XVI), tego wydawnictwa, poświęcony całkowicie zagadnieniu alkoholizmu; zawiera on referaty, wygłoszone na ostatnim Zjeździe Psychjatrów Polskich: prof. Modrakowskiego, prof. Borowieckiego, Dr. Zielińskiego, prof. Rosego, Dr. Wicherta, Dr. Dreszera, Dr. J. Nelkena, Dr. Markuszewicza, Dr. Gawrońskiego, Dr. Deresza. Artykuł wstępny Dr. Wł. Sterlinga p. t. „Polska myśl psychjacyjna w walce z alkoholizmem” — Str. 209. Liczne rysunki i tablice w tekście. Cena 15 zł. — Do nabycia w składnicy „Trzeźwości” — Rynek Starego Miasta 38.

NASTĘPNY NUMER „TRZEŻWOŚCI UKAŻE SIĘ W KOŃCU CZERWCA.

Druk ukończono dn. 22.V 1931 r.

— **JAN SZYMAŃSKI** —

Dlaczego należy walczyć z alkoholizmem

Str. 8. — Cena 10 gr.